



ROK LIX

Nr 37

# WISMA 10 GODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 11 WRZEŚNIA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Inspektorki pracy — *M. B. Ł.* Nie załamuj rąk — *C. r.* Wieś — *C. Walewska.* G. K. Chesterton o domu i kobiecie (c. d.) — przekł. *Zbigniewa Grabowskiego.* Kiedy już będziesz duży (dok.) — *Władysław Rymkiewicz.* Drukowane wiersze (wiersz) — *Aurelja Wasermanówna.* Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości) — c. d. — autor. przekł. *T. Jakubowicza.* Najpiękniejsze godziny zatrzymanego zegara — *St. Podhorska-Okołów.* Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszanka.* Tajniki świata zwierzęcego (dok.) — *Janina Maszewska Knappe.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z książek — *Marja Dąbrowska.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Szydełkowa kombinacja. Kostjumy — *W. D. Kapelusze* — *W. I.* Polska współczesna. Wnętrza mieszkań z epoki Biedermeiera — *Spero.* Kilimy — *J. Or.* Ogród warzywny na 200m<sup>2</sup>. — *K. B.* Historia kartofla. Korepondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (autor. przekład z hiszpańskiego *T. Jakubowicza,* Arkusz wzorów.

## INSPEKTORKI PRACY



W jednym z artykułów, stanowiących w naszym piśmie od pewnego czasu stałą rubrykę p.t. „Zamiast radia” i zajmującym się warunkami istnienia kobiet, zatrudnionych pracą fizyczną, wyłożono w głównych zarysach cele i zasady ustawodawstwa ochronnego. Nie od

rzeczy będzie na tem miejscu raz jeszcze przypomnieć, że przepisy te we wszystkich krajach zagranicznych i w Polsce dotyczą wyłącznie robotnic przemysłowych z zupełnym pominięciem najemnic rolnych, które wprawdzie pracują w o tyle lepszych warunkach, że prawie zawsze na powietrzu, ale mają zajęcie bodaj najcięższe. Ochrona pracy robotnic zatrudnionych w przemyśle obejmuje przepisy, które: ograniczają czas pracy; zakazują zatrudniania kobiet w kopalniach pod ziemią oraz przy fabrykacjach i zatrudnieniach szczególnie szkodliwych dla organizmu kobiecego; zabraniają zasadniczo zatrudnianiania kobiet w nocy; nakazują stosowanie pewnych środków, mających na celu bezpieczeństwo i możliwy poziom higieny przy pracy, wreszcie dążą do zapewnienia pewnych ulg robotnicom-matkom. Ustawy ochronne poszczególnych państw posiadają swą nadbudowę w postaci przepisów międzynarodowych, obowiązujących wszystkie państwa zrzeszone w Międzynarodową Organizację Pracy, stanowiącą uzupełnienie socjalne Ligi Narodów.

Ojczyznę przepisów ochronnych dla kobiet, jak wogóle całego ustawodawstwa ochrony pracy, była Anglja. Pierwsza angielska ustawa o pracy kobiet wy-

dana już była prawie przed 100 laty, w roku 1833 jednocześnie z powołaniem do życia nowej, nieznaney również do tego czasu kategorii urzędników, zwanych inspektorami fabrycznymi lub inspektorami pracy. Okazało się bowiem, że poprzednie ustawy ochronne, powstrzymujące i ograniczające wyzysk pracy dzieci, nie dały oczekiwanych skutków, a raczej pozostały zupełnie bez rezultatów skutkiem braku [odpowiedniego nadzoru nad ich wykonywaniem.

Ani organizacje filantropijne, ani nawet tak piękne w swych tradycjach i kwalifikacjach samorzady miast angielskich, nie umiały zwalczać stosunków, przeciw którym wystąpiło nowe prawodawstwo. Rozwieszając przeto przepisy ochronne na robotnice, powołano owych inspektorów fabrycznych, ludzi z wyższym wykształceniem i o odpowiednich zaletach charakteru, których zadaniem było czuwanie nad stosowaniem w życiu ustawodawstwa ochronnego. Za przykładem Anglji zaczęły wprowadzać inspekcję pracy i inne kraje uprzemysłowione.

W toku rozwoju inspekcji pracy równocześnie w różnych państwach, nabrano przekonania, że obok inspektorów-mężczyzn winny istnieć inspektorki. Pierwsze próby, jakie poczyniono w tym kierunku w państwach południowo-niemieckich, w Anglji, Francji i krajach skandynawskich, dowiodły, że inspektorki pracy są niezmiernie pożyteczne. To też już po dłuższych doświadczeniach w tym zakresie, Międzynarodowa Konferencja Pracy, złożona z przedstawicieli rządów, pracodawców i robotników, obradując nad



inspekcją pracy w roku 1923, powzięła uchwałę, by wszędzie tam, gdzie zatrudniona jest większa liczba kobiet, nadzór nad wykonywaniem ustawodawstwa ochronnego wykonywały inspektorki. Jak wiadomo zaś, tylko wyjątkowe gałęzie przemysłu współczesnego zatrudniają wyłącznie mężczyzn. W ten sposób w myśl wskazań, ustalonych przez porozumienie międzynarodowe w krajach uprzemysłowionych, każdy okręg fabryczny powinien posiadać siły kobiece wśród swych inspektorów pracy. Powinny je posiadać zwłaszcza te okręgi, w których przeważają takie przemysły jak włókienniczy, papierniczy, tytoniowy, konfekcyjny itp. Jeśli zważyć, że inspekcja pracy czuwa nad warunkami zdrowotnymi i bezpieczeństwa pracy, że ze sprawami temi wiąże się szereg zagadnień natury fizjologicznej, że ochrona pracy kobiet obejmuje prócz tego całokształt warunków pracy, a więc również jej stronę moralną, to instytucję inspektorek uważać trzeba nie tylko za pożądaną, lecz za wręcz konieczną. Robotnice, zwłaszcza młode, są śmielsze wobec inspektorki i darzą ją większym zaufaniem, co w danych warunkach jest zrozumiałe samo przez się i nie przynosi żadnej ujemy inspektorom-mężczyznom.

O rozmiarach, w jakich stosowane są obecnie kobiety w inspekcji pracy, świadczy parę cyfr następujących: W roku 1923 było inspektorek:

w Wielkiej Brytanii . . . . .	34
w Niemczech . . . . .	79
we Francji . . . . .	26
w Austrii . . . . .	9

W Polsce ustawowo inspektorki zrównane są zupełnie pod względem prawnym z inspektorami pracy. Należy zauważyć, że pierwsza inspektorka na ziemiach polskich istniała jeszcze przed otrzymaniem niepodległości, mianowicie w Krakowie, jako wchodząca w skład austriackiej inspekcji pracy. Obecnie zaś, przy poważnej rozbudowie inspekcji pracy w Polsce i przy owym zasadniczym zrównaniu w niej kobiet i mężczyzn, mamy na z górą 100 jej członków zaledwie 7 kobiet, z których zresztą jedna, p. Zofja Praussowa, nie sprawuje od dłuższego czasu swych obowiązków, gdyż jest posłem na sejm. Wszystkie sześć czynnych inspektorek zajmuje stanowiska podinspektorów, nie posiadają bowiem wymaganego od inspektora wyższego wykształcenia technicznego. Trzy z nich, panie dr. Marja Kolabińska, Marja Kirstowa i Halina Kraheńska pracują w stolicy, p. Lucyna Woliniewska należy do składu inspekcji woj. warszawskiego, panie Emilja Michalska i Zofja Kunertówna do inspekcji łódzkiej. Jednakże, mimo braku formalnych kwalifikacji technicznych, podinspektorki sprawują wszelkie czynności inspektorów: wizytują zakłady przemysłowe, pośredniczą w likwidacji zatargów między pracodawcami a pracownikami płci obojej i to zarówno zatargów jednostkowych jak zbiorowych, przygotowują odpowiedzialne prace o charakterze wewnętrzno-służbo-

wym itd. Mimochodem zaznaczmy, że niejednokrotnie potrzeba całego nacisku władz centralnych, by zwalczyć uprzedzenia bezpośrednich zwierzchników i wymóc na nich dopuszczenie inspektorek do tych czynności, z których potem wywiązują się przecież ku zupełnemu zadowoleniu tych samych przełożonych. Działa tu zwykła niechęć do uznawania równorzędności uzdolnień kobiecych, bowiem ciż sami panowie inspektorzy są pełni uznania dla pracy kobiet-robotnic.

Łatwo się też domysleć, że inspektorki mają do przewyciężenia pewne trudności ze strony zainteresowanej publiczności, której ogół nietylko u nas dopiero przywyka do spotykania się z kobietą na odpowiedzialnych stanowiskach. Jak nas informowały same panie inspektorki, przypadki niechęci lub lekceważenia w stosunku do nich ujawniają się raczej ze strony pracodawców, niż robotników. Prosty człowiek zwraca się ze swoją sprawą do urzędu, do reprezentującej ten urząd osoby, a stosunek swój do niej kształtuje rzeczowo, odpowiednio do tego, jakie jest ujęcie przedmiotu i jego załatwienie. Przedsiębiorca z góry próbuje przesądzić o nieumiejętności lub niezaradności pani, z którą przywykł obcować tylko na gruncie towarzyskim lub rodzinnym. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju uprzedzenia, wykazywane zresztą od samego początku dość rzadko, znikną zczasem w Polsce, jak znikły zagranicą. Być może, że do powstawania i podtrzymywania ich u nas przyczynia się brak jakiegokolwiek rozgraniczenia między zadaniami inspektorów i inspektorek. W Anglii, gdzie kobiety zajmują w inspekcji pracy stanowisko nawet bardzo wysokie, oraz w innych krajach zachodnioeuropejskich, zadania inspektorek skierowane są wyłącznie na dziedzinę pracy robotnic i młodzieży pracującej, która w oczach szerokiego ogółu musi uchodzić za właściwie i bezsprzecznie im przynależną.

Trudno już dziś przewidzieć, czy za równością pod względem formalno prawnym pójdzie u nas również przyznanie inspektorom pracy wyższych szczebli hierarchicznych, jak to się dzieje w Anglii. Jak stwierdziliśmy powyżej, pewne okoliczności narazie tego nie zapowiadają. Z drugiej zaś strony są symptomy, które wskazywałyby na niejaki ciężar polskich inspektorek do wyspecjalizowania się w dziale przeznaczonym im z natury. W niedawno ogłoszonych drukiem sprawozdaniach polskiej inspekcji pracy z jej działalności w 1924 roku, znajdują się dwa poważne referaty, stanowiące wynik badań nad warunkami pracy robotnic w Warszawie i jej okolicach; badania te przeprowadziły i opisały inspektorki urzędujące we właściwych okręgach. O ile mi wiadomo, w Warszawie prowadzone są w dalszym ciągu prace analogiczne, którym właśnie inspektorki poświęcają dużo wysiłku i zainteresowania. Potrzeba takich badań na tem polu, leżącym u nas tymczasem prawie zupełnie odłogiem, i wogóle zwrócenie baczonej uwagi na wa-







runki pracy i bytu pracowniczych rzesz kobiecych, istnieje w Polsce w silniejszym bodaj stopniu, niż gdzieindziej, wobec zaznaczającego się w naszych miastach coraz ostrzej upadku życia rodzinnego i niewątpliwego zwyrodnienia fizycznego i moralnego dątwy najuboższej. Okoliczność, że prace w tym kierunku podjęły samorzutnie urzędujące w inspekcji

pracy kobiety, dowodziłaby, że podział atrybucyj, dokonany w łonie inspekcji pracy na Zachodzie, ujmuje właściwie specjalizację zawodową obu płci, gdy rozgranicza związane z wykształceniem inżynierskim zadania inspektora, od zajęć inspektorki, polegających na czuwaniu nad godziwością warunków pracy kobiet i młodzieży.

M. B. Ł.

## NIE ZAŁAMUJĄC RĄK



osnąca w zimie roku ubiegłego fala bezrobocia i redukcji wyrzuciła na bruki Warszawy pewną ilość jednostek energicznych i ruchliwych, które postanowiły założyć zrzeszenie zredukowanych urzędników i pracowników w celu radzenia sobie własnymi siłami w walce z nędzą i brakiem pracy.

W lutym r. ub. zalegalizowano statut nowej organizacji. Nosi ona urzędową nazwę „Zrzeszenie Spółdzielcze zredukowanych urzędników i pracowników”. Udział wynosi 5 zł. Przymiotnik „spółdzielcze”, wskazuje, w jakim kierunku zamierza iść związek zredukowanych.

Wyłoniły się ciekawe pomysły, między innymi, stworzenie potężnej kooperacji osiedleńczo-rolnej i przeniesienie znacznego zastępu ludności pozbawionej zarobku z przeludnionych miast na wieś, do wschodnich, mało zaludnionych okręgów Państwa.

Myśl jest nieco utopijna. Od biurka i warsztatu fabrycznego nie tak łatwo przejść na rolę, nie tak łatwo pracować z pożytkiem w nowych zupełnie i niesłychanie trudnych warunkach. No, ale zważywszy, że wiele czyni ten, co musi, zważywszy, że pewna ilość elementu miejskiego, zarówno wśród inteligencji, jak wśród rzemieślników i robotników, pochodzi ze wsi, można pomysł ten uznać do pewnego stopnia za wykonalny.

Wydział agrarno-parcelacyjny Zrzeszenia poczynił zatem zabiegi o przydział ziemi z dóbr państwowych, na długoterminowe rozpląty, o uzyskanie budulca z lasów państwowych i subsydjów na rozpoczęcie gospodarki. Osady liczyć mają po stukilkudziesięciu osadników, z których każdy gospodarowałby indywidualnie, korzystając z pewnych wspólnych urządzeń; każda osada miałaby jednego, wspólnym kosztem utrzymywanego, instruktora, no i zapewne wspólną młocarnię parową i t. p.

Takie są plamy i zamysły. Czy z nich stanie się coś rzeczywistością i jak ta rzeczywistość wyglądać będzie, przyszłość pokaże.

Blizsze zrealizowania są zamiary Sekcji rzemieślniczej. Uzyskała ona już od Komendy Miasta 2 budynki na Czerniakowskiej Nr. 165 i 167, które remontuje obecnie celem urządzenia tam pracowni rzemieślniczych. Uprawiane będzie czapnictwo, krawiectwo, szewctwo, introligatorstwo i rymarstwo galanteryjne. Warsztaty pomieszczą około 180 pracowników, fachowców, członków Zrzeszenia. Z Ministerstwa spraw wojskowych uzyskano już podobno obietnicę stałych zamówień.

Brzmi to bardzo pięknie, ale z ogólniejszego punktu widzenia biorąc rzeczy, nasuwa się tu pytanie: czy uzyskując zamówienia dla warsztatów na Czernia-

kowskiej, nie odbiera się ich innym firmom, które znów zmuszone będą redukować pracowników, czy więc nie jest to wytwarzaniem pewnego rodzaju błędnego koła? Pojemność bowiem rynku wewnętrznego jest ograniczona. Gdyby te warsztaty pracowały na eksport, gdyby znalazły sobie nowe rynki zbytu, sprawa przedstawiałaby się całkiem inaczej.

Celem powiększenia swoich funduszy Sekcja Rzemieślnicza zorganizowała w gmachu cyrku nowe kino, z którego dochód przeznaczono na uruchomienie warsztatów. Kino dało zajęcie kilkunastu osobom, pozbawionym pracy, ale na razie za małą jeszcze cieszy się frekwencją.

W lokalu swoim przy ul. Ś-to Krzyskiej Nr. 17 zorganizowało Zrzeszenie wydawanie obiadów dla inteligencji. Obiad kosztuje 40 gr. Korzysta z jadłodajni około 300 osób. Na miescie zorganizowano kuchnię ruchome dla bezrobotnych, gdzie porcja kosztuje 30 gr. Wszystko to, oczywiście, przy pomocy Komitetu Obywatelskiego pomocy dla głodnych.

Sekcja kobieca ma zamiar zorganizować szwalnię i magazyn kapeluszy. Jak dotychczas jest to zamiar tylko i znów zamiar o charakterze błędnego koła. Szwalnie i magazyny, istniejące już, wszak oddalają pracowników.

Natomiast powstała tu pewna myśl nowa, mianowicie wytworzenia organizacji, popierającej przemysł jedwabniczy w Polsce. Na razie, jest to Sekcja Zrzeszenia, do której zbiera się obecnie zapisy na członków (5 zł. rocznie). Zapisy przyjmuje p. Wasiewicz w Centr. Tow. Rolniczem. Tam też ma być siedziba tego związku, który w niedalekiej przyszłości stać się powinien zupełnie odrębnym towarzystwem. Zamierzenia jego bowiem przerastają o wiele cele organizacji, bądź co bądź, tymczasowej, jaką jest zrzeszenie zredukowanych urzędników i pracowników.

Przewodniczącą Sekcji popierania przemysłu jedwabniczego w Polsce jest pani doktorowa Makowska. Do Zarządu wchodzi poseł Dymowski, sędzina Rupiewiczowa, p. Rymarkiewicz i p. Witaczek, kierownik i twórca Stacji Doświadczalnej w Milanówku.

Podobno Ministerstwo Rolnictwa zainteresowało się obecnie bardzo żywo sprawą rozwoju jedwabnictwa w Polsce i obiecuje pomoc akcji, podjętej przez Zrzeszenie. Chodziłoby przede wszystkim o uzyskanie t. zw. „ośrodka”, gdzie możnaby umieścić Stację Doświadczalną, wzorową, na wielką skalę prowadzoną plantację sadzonek morwowych i wzorową hodowlę jedwabników, jajeczek i t. d.

Narazie czyni się zabiegi o uzyskanie terenu pracy, oraz zbiera informacje o istniejących już w kraju z dawnych czasów plantacjach morw. Informacje dokładne przesyłać należy pod adresem Zrzeszenia dla p. doktorowej Makowskiej.



Mam głębokie przekonanie, że z pośród poczynań Zrzeszenia, to jedno ma przed sobą poważną przyszłość. Musi jednak porzucić corychlej szczupłą swą kolebkę i ogarnąć szersze koła społeczeństwa, przedewszystkiem zaś kobiet, które zarówno jako producentki oprzędów, jak i jako robotnice, zajęte w przemyśle jedwabniczym, a nawet jako konsumentki materij jedwabnych są w całej tej sprawie najżywiej zainteresowane.

Czytelniczkom „Bluszczu“ nie jest ona już obcą.

Od roku poruszamy żywotny ten temat w całym szeregu artykułów. Spodziewamy się też, że czytelniczki nasze zechcą wziąć udział w pracy popierania przemysłu jedwabniczego. O dalszych fazach rozwoju tej akcji nie omieszkamy oczywiście je informować jaknajdokładniej.

Wracając do Zrzeszenia zredukowanych urzędników i pracowników, dodać trzeba, że stara się ono popierać każdą inicjatywę prywatną swoich członków.

Tak więc przy jego pomocy i zabiegach powstały Kursy sekwestratorów podatkowych, których brak dawał się podobno uczuć. Kilku słuchaczy tych kursów uzyskało już posady w Ministerstwie Skarbu. Tak powstała kooperatywa opałowa, dostarczająca do domów węgiel i drzewo.

Tak założono przy ul. Kapitulnej Nr. 4 Biuro podań i próśb, oraz przepisywania na maszynie. Biuro to zatrudnia 7 osób.

Tak zredukowani urzędnicy Departamentu Celnego wpadli na pomysł stworzenia Agentury Celno-wywozowej na zasadach spółdzielczych. Zrzeszenie wystarało się o koncesję.

Wszystkie te i. p. placówki rządzą się na zasadzie najrozleglejszej autonomji, wnosząc tylko do Centrali 10% czystego dochodu.

Istnieje również przy Zrzeszeniu dział pośrednictwa pracy. Działalność jego jednak jest mało wydajną.

Jak widzimy, są to próby i usiłowania łagodzenia katastrof społecznej, spowodowanej przez kryzys gospodarczy. Oczywiście, nie leczą one radykalnie zła, pobudzając jednak pomysłowość ludzką do wyższego działania, udzielając poparcia prywatnym wysiłkom, mogą pewną ilość jednostek uchronić od rozpacz i od ostatecznego upadku.

Najważniejszą może stroną dodatnią tej akcji jest budzenie inicjatywy w społeczeństwie tak niesłychanie biernem, jak nasze, tak lubiącem chodzić utartymi drogami, a w razie wykolejenia z tych dróg, załamującym beczynnym rękę.

To jest główny powód, dla którego zamieszczamy o zrzeszeniu zredukowanych urzędników i pracowników garść informacji. Może jego przykład zachęci do tworzenia podobnych organizacji, do wysiłku w kierunku tworzenia nowych placówek pracy, do zaprzestania jałowych biadań i narzekań.

## Z CYKLU „W SIERADZKIEM“

# W I E Ś



Siedziałam, wpatrzona w cudną panoramę parku tubądzkiego. W przepyszny klomb przed białym dworkiem i w dal perspektywiczną drogi wjazdowej, majaczej u wylotu tarasu w obramowaniu drzew, zaczarowanych bezruchem. Mówiłam sobie: „trud życia całego“. Pracowite ręce kładły w ziemię zarodź młodych dębczaków, mrocznych tui, jodeł, cyprysów, modrzewi, błękitnych świerków amerykańskich, srebrnych topoli, brzoź, wiązów, klonów. Myśl rozplanowywała je w muzykę obrazu, w akordy harmonji, w dźwięczną pieśń nastroju. W tła, rzuty, plamy, wiązania i zespoły architektoniczne. Myśl przewidująca sięgała w zjawę dni, kiedy rozsuzmi się tegiemi konarami młody dąbczak i topazowo-szmaragdowa akacja. Myśl z żdzbeł, z wiotkich płonek budowała przyszłość. Nie wolno było jej omylić się. Nie wolno było dębom wyjść na plan pierwszy, jak aktor, który swoją rolą chce zabić inne. Nie wolno było grupie lip zasłonić sobą jesionu płaczącego, który musi stać samotnie, jak cienista altana, z kąd płynie i dokąd pomyka korowód marzeń, gdzie na Anioł Pański drżą między liśćmi ciche pacierze i giną niesłyszane. Wszystko musi przewidzieć, wszystko mądrze rozłożyć myśl ogrodnika, żeby z drobnych sadzonek wyrósł przebogaty, pięknem nieśmiertelny park. Symfonia barw, kształtów, ugrupowań. Poemat żywych linii, orgja stonowanej zieleni, przepych miękkich trawników. Czary perspektywy. Radość oczów. Wniebowzięcie wszystkiego czucia.

Tak siedząc, wpatrzona w półkole misternie za

olbrzymim klombem rozplanowanych drzew, zgłębiałam tajemnicę narodzin i dojrzałości parku.

Od strony grabowej alei z po za bujnego żywopłotu dochodziły miarowe uderzenia młotów o kamienie. To brukowano grzędą, błotnistą drogę wzdłuż ogrodu. Fura za furą zwoziła piach do podsypów.

Dalej — na krańcach parku przy domku ogrodnika, murowanym i wdzięcznym, stawiano przybudówki. Na folwarku wznoszono w miejsce starej, drewnianej nową oborę z kamienia i cegły.

W dobie szalejącego bezrobocia, kiedy zamarły wszelkie nowe poczynania, tu — w cichym zakątku ziemi sieradzkiej — dziesiątki ludzi dostawały pracę.

W domu było pusto. Dziedzic oglądał roboty, wydawał rozporządzenia. Wszędzie musiał być, wszystko dyspozycję z dnia poprzedniego. Zaradzić w nagłych wypadkach z ludźmi, końmi, maszyną. Dziedzic — administrator, rządca, buchalter w jednej osobie, prezes kółka rolniczego i prelegent na comiesięcznych zebraniach członków, prezes straży ogniowej i dozoru kościelnego, członek opieki szkolnej i delegat C. T. R. dla badania stanu i sposobu prowadzenia gospodarstw okolicznych. Musi zasiadać w sejmikach i być lekarzem, doradcą prawnym, opiekunem czeladzi w kosiarach, powiernikiem bab, zdradzanych przez mężów i mężów zdradzanych przez baby. Rozjemcą rodzin zwaśnionych, bankierem co ruchliwszych gospodarzy, zaciągającym u niego pożyczki na jakoweś remonty, dobudówki, nawozy, zasiewy. Kancelarja jego stoi otworem cały dzień. Do późnego wieczora schodzą się interesanci,



Była niedziela. Z książką siedziałam na balkonie nad tarasami parku. „Ostatnia placówka“ Zaleskiej-Dorożyńskiej. Szamotanie się młodej dziewczyny w walce o majątek rodzinny. Bój o każdą piędź ziemi, o każdy kąt pałacu. Przychodzą wojska Petlury. Wpadają jak burza bolszewicy. Grożą miejscowi hajducy. Wszyscy sąsiedzi pouciekali. Zostały wrogom na zer dobra dziedziczne. Ona jedna trwa — młoda poetka, artystka. Harda, przebiegła, gdy trzeba, a zawsze bohaterka. Cztery lata trwa. Jednak w końcu...

Straszna książka w swej nagiej, brutalnej prawdzie.

Ciche drzewa, ciemne tuje, świerki, cyprysy, lipy pachnące, jesiony o liściach jak deseń koronki, wy mi powiedzcie, że tak nie będzie w Polsce. Że ostoja się nasze dwory, nasze pamiątki, dobre twarze prababek na starych portretach, szkła drogie sercu w serwantkach, książki pożółkłe na półkach bibliotecznych. Ciche drzewa, przemówcie!

Drzewa nie drgnęły. Ale wpadł dziedzic z propozycją:

— Jedziemy do Inczewa. Niedziela. Co robić w domu?

Doskonale. Jedziemy. Lęk prysnął. Straszna książka zamknięta. Drzewa ze starczą wyrozumiałością patrzą na pośpiech, z jakim zbiegam po męża.

Zabrawszy proboszcza po drodze, stajemy wkrótce przed ślicznym, nowoczesnym, białym pałacykiem. Wielki hall z palmą wspaniałą u wejścia. Kwiaty. Pełno kwiatów w salonie, jadalni, wszędzie. Wita nas pani domu radośnie.

— A dziedzic?

— W polu z synami. Pojechali obejrzeć rzepak czy przesechł Chcą zwozić jutro. Zaraz wrócą.

Pytamy o resztę domowników.

— Córki jedna u chorej babki. Druga wraca po zamknięciu wykładów w Sorbonnie. Nauczycielka zajęta szkołą.

— Jakto — w niedzielę?

— Tak. W niedzielę i święta specjalnie. Od 2 do 5.

— A szkoła w gminie?

Dziedziczka objaśnia, że dzieci wiejskie po skończeniu nauki bardzo szybko zapominają wszystkiego. Na okoliczność tę zwrócił uwagę dyrektor Macierzy Szkolnej, p. Stemler w czasie trzydniowych odczytów swoich zimą w Sieradzu, odczytów, które gromadziły po kilkaset osób nie tylko ze sfer nauczycielstwa szkół powszechnych, ale i z kół ziemiaństwa okolicznego. Dyr. Stemler radził tworzyć czwórki oświatowe z pośród takich powrotnych analfabetów, twierdząc, że nauka wtórna utrwała się już w mózgzach na zawsze.

Z werandy pałacu dochodził szmer głosów. Poszliśmy zobaczyć szkołę.

Przy wielkim stole w ogrodzie przydywała sympatyczna i bardzo przystojna nauczycielka, pomagali jej zofer i niania najmłodszego synka państwa domu, biegała w naukach szkolnych. Każde z nich prowadziło swoją czwórkę pod ogólnym nadzorem pani kierowniczką, która dla siebie samej zostawiła najmniej zdolnych uczniów, między innymi ślepą, niedorozwiniętą umysłowo 15-letnią dziewczynę, która jednak wykazała duże postępy.

Nastroj szkoły był wzruszający. W ciszy, w skupieniu, pod cieniem drzew odbywał się jakby jakiś obrządek mistyczny, wtajemniczanie wiernych.

Szkoła — przymus. Te dobrowolne łaknienie wiedzy. A największą nagrodą za pilność i sprawność w nauce pochwała pani dziedziczki, śledzącej pracę trzech czwórek.

Po podwieczorku niespodzianka — popis harcerski. Nauczycielka ośmioletniego synka należy do drużyn i jest doskonałą instruktorką. Zebrała więc we wsi czternastu chłopaków od 8 — 15 lat. Poszyła im czapki skautowskie, kazała zaopatrzyć się w kijki i przystąpiła do ćwiczeń.

Sprawnie rozwinęły się szyki. Pani S. wybija pałeczkami w takt na bębenku. Chłopcy w rytm komendy robią obroty. Na zakończenie recytacja przykazań harcerskich i skoki przez zaimprovizowane przeszkody.

Zmierzch zapada. Konie zajeżdżają. Przed pożegnaniem horoskopy — będzie pogoda czy nie? Zdąży się zwieźć rzepak? Wysznie koniczyna?

Niebo błękitnieje. Lekki wiatr rozpędza chmury. W serca wstępuje otucha.

C. Walewska.

## G. K. CHESTERTON O DOMU I KOBIECIE

Zapytywano mnie nieraz poważnie, co myślę o nowych kierunkach w wychowaniu kobiecem. Śmiem jednak twierdzić, że niema żadnych nowych poglądów i idei w wychowaniu kobiet. Niema i nie było tam wogóle śladu nowej idei, myśli. Cała robota reformatorów edukacji polega na tem, że zasady wychowania chłopców stosują żywcem i automatycznie u dziewcząt. Wygląda to zupełnie tak, jakby ci panowie poinformowawszy się, czego czy się panicyków z najlepszych domów, starali się wpoić te same wiadomości małym kominiarczykom. To, co owi reformatorzy zwą mianem nowych idei, poglądów, jest w rzeczy samej, starą ideą na niewłaściwym miejscu. Chłopcy grają w football — czemuż dziewczęta nie mają kopać piłki, chłopcy noszą odznaki i barwy szkolne — dlaczego dziewczęta nie mogą nosić mundurków; chłopcy chodzą gromadnie do eksternatów<sup>1)</sup>, — czemu dziewczyny nie mają się pchać do tych sa-

mich szkół, — chłopcy uczęszczają do Oxfordu — z jakiej racji kobiety mają być niedopuszczone do studjów w Oxford. Krótko mówiąc: chłopcom rosna wąsy — dlaczego dziewczętom nie mają rosnać wąsy? — Tak oto przedstawia się ta sławna idea heroldów nowego wychowania. W całej tej reformie brak przemyslenia, intelektualnego wysiłku — brak sięgnięcia w głąb problemu i zbadania, czem jest odrębność płciowa i jak dalece zmienia ona te czy owe cechy ludzkiego indywiduum...

Wszystko to, co oglądamy — to jeno zmudne wypracowane i wymęczone małpie naśladownictwo... Nawet dzikus pojmuje jasno, że ostatecznie — pewne fizyczne wysiłki, zdrowe i odpowiednie dla mężczyzny,

<sup>1)</sup> T. zw. „day-school“ szkoła bez internatu (eksternat) w odróżnieniu od internatowych („boarding-school“). (Przyp. tłum.).



nie są znowu tak bardzo zbawienne i dobre dla kobiety. A jednak ci nasi domorośli warjaci nie omieszkują zalecać dla dziewcząt żadnej choćby najbrutalniejszej gry, czy zabawy chłopców. Aby wziąć jeszcze bardziej bijący w oczy przykład z tego okresu: daje się dziewczętom ciężkie i trudne „roboty domowe“, nie zastanawiając się zupełnie, że wszystkie dziewczęta mają ich chyba dosyć u siebie w domu. Ale ilustracje nasze — to tylko wybrane wyjątki i części z tego procesu niemądrej uległości i poddawania się pod rozkazy doktrynerów. Według nich i kobieta musi nosić twarde kołnierzyk, ponieważ takie męczące paskudztwo uciska już męską szyję.

Niejeden tedy z czytelników spyta się, może nie bez pewnej dozy złośliwości i sarkazmu: „a więc cóż pan woli? Czyż chce pan wrócić znowu do tej eleganckiej kobiety z wczesnej epoki wiktoriańskiej, z główką o kręcących się lokach i nieodstępną flaszeczką perfum, do owej damy, co zabawia się nieco akwarelą, mówi łamaną włoszczyzną, brzdąka trochę na harfie, pisze swe zwierzenia w nudnych i banalnych pamiętnikach, oraz zamalowuje nieczule i cierpliwe płótno?“ Na to odpowiem „oczywiście“. Naprawdę wolę tamto wychowanie kobiece, aniżeli to nowe, a to z tej racji, że w tym systemie potrafie dostrzec jakiś racjonalny cel, jakiś intelektualny plan, podczas gdy w tym pierwszym niema takiego celu, ni zamiaru...

Wyobrażam sobie nawet, że Jane Austen była silniejsza, bardziej twarda i nieugięta, niż Charlotte Bronte — tak, jestem niemal pewien, że ta ostatnia była silniejsza, bardziej ostra i męska, niż sama George Elliot<sup>1)</sup>. Pierwsza z nich umiała jedno, — której to umiejętności nie posiadały dwie jej następczynie w literaturze, — umiała na chłodno, rozważnie, a jednak z odczuciem odmalować męczyznę.

Również trudno mi uwierzyć, aby księżniczki starej daty, które były zgoła zadowolone, malując jakiś widoczek, czy historyczny zabytek, stały umysłowo niżej od tych nowoczesnych księżniczek, co malują tylko własne twarze i wcale nie objawiają zadowolenia ani nie czują się szczęśliwe przy tej robocie.

Ale nie tu leży waga problemu. Spytajmy raczej jakie było teoretyczne założenie, jaka ideowa ośnowa w tych dawnych, nieudolnych i błądzących akwarelach, w tej wątpliwej i kulawej włoszczyźnie? Była to ta sama idea, którą w poprzedniemu oczywiście stopniu — wyrażają takie rzeczy, jak np. wina, wyrabiane w domu, lub przepisy leczenia, przechodzące dziedzicznie z pokolenia na pokolenie; myśl ta w tysiącnych zdumiewających i niespodzianych przejawach utrzymuje się ciągle jeszcze wśród kobiet z gminu. Była to idea, na którą kładłem nacisk w drugiej części niniejszej książki: świat musi mieć jednego wielkiego amatora, zainteresowanego w najróżniejszych zajęciach i fachach, inaczej wszyscy zmienimy się w artystów swego rzemiosła i zginiemy...

Nie sądzę, aby ta elegancka kobieta ze swoją kiepską włoszczyzną była idealnym typem, podobnie jak nie twierdzę, by była nim kobieta z brudnych zaulek<sup>2)</sup>, której rozmowa obraca się wokół wódki i pogrzebów; niestety, nader mało jest na świecie doskonałych i skończonych twórców. Ale obie one wy-

chodziły z wyraźnej, dającej się pojąć idei — natomiast kobieta nowoczesna wychodzi znikąd i zdąża niewiadomo dokąd. Jest rzeczą słuszną mieć jakiś ideał, a jeszcze bardziej słuszną posiadać właściwy ideał: dwa wyżej wspomniane typy kobiece miały taki ideał i tradycję. Kobieta z nędznych nor przedmieścia ze swoim gadaniem o śmierciach i pogrzebach jest podupadłą, zwyrodniałą córką Antygony, nieustępliwą kapłanką bogów domowych. Dama, szczebiocząca podejrzaną włoszczyzną, była jakąś dziesiątą wodą po kisielu owej Porcji, wielkiej i olśniewającej pani włoskiej, renesansowej wielbielki i miłośnicy życia, co potrafiła być obrońcą sądownym, jako że mogła być wszystkim.

Był czas, gdy ty, czytelniku, ja sam i my wszyscy znajdowaliśmy się bardzo blisko Boga: toteż nawet i teraz kolor muszli (lub barwy obrazu), zapach kwiatów (lub wytrysk świetlnej rakiety) padają nam na serce z jakąś szczególną powagą i władzą, budząc po niem nieokreślone uczucie pewności, jakby to były fragmenty, części zawikłanej wieści, czy poselstwa, lub rysy zapomnianej twarzy. Wrócić duszy tę gorącą, pierwotną prostotę i rozlać ją na całe nasze życie — oto jedyny istotny cel wychowania. Najbliżej zaś dziecka stoi kobieta i ona rozumie. Określić dokładniej, co to ona rozumie, przekracza moje siły; mogę tylko dodać, że nie jest to wcale rzecz uroczyście ni namaszczona. Raczej jest w tem jakaś olbrzymia lekkomyślność i pustota...

Mieszać języki ludzi i aniołów, myszkować w śmiertelnie poważnej wiedzy i umiejętnościach, igrać z kolumnami i piramidami i rzucać planetami, jak piłkami — oto jest ta wewnętrzna śmiałość i nonszalancka obojętność, którą dusza ludzka, jak magik lub sztukmistrz, musi zachować. To jest owa niezdrowo swobodna, pełna lekomyślności rzecz, którą zwieemy zdrowiem. Elegancka kobieta dawnych czasów, schylając główkę ustrojona w loki nad akwarelami swego pędzla, wiedziała o tem i działała w tym duchu. Utrzymywała ona śmiałą równowagę niższych sił i popędów duszy, co jest najbardziej tajemną władzą wśród najwyższych zdolności człowieka i prawdopodobnie najtrudniejszą do zdobycia i zachowania. Wyznawała ona pierwotną wiarę kobiety wiecznej i wszechstronnej matki: jeśli rzecz jakaś godna jest zrobienia, warto zrobić ją, nawet źle.

Przekład Zbigniewa Grabowskiego.

<sup>1)</sup> Jane Austen (1755-1817) znakomita powieściopisarka angielska, autorka szeregu powieści („Sense and sensibility“, „Emma“, „Pride and prejudice“), odznaczających się wysoką prawdą artystyczną i świetnym umiarem, Charlotte Bronte (1816-1855) siostra Emily Bronte, autorka powieści „The Professor“ i „Jane Eyre“, gdzie głęboka szczerłość wyznań harmonizuje z surową niekiedy powagą i godnością moralną. George Elliot (1819-1880) autorka powieści „Adam Bede“, „Romola“, „The Mill on the Floss“ i „Silas Marner“, umysł analityczny i krytyczny; sporo w jej utworach nużących dygresyj i filozoficzno-naukowych rozpraw niektóre ustępy (zwłaszcza w „The Mill on the Floss“) świadczą o dużej wrażliwości i słodczy tej pozornie „niekobiecej“ natury. (Przyp. łomacza).

<sup>2)</sup> Osławione „Slums“ w Londynie. (Przyp. łom.)





WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

## KIEDY JUŻ BĘDZIESZ DUŻY

4

Spojrzała mu, przerażona, prosto w twarz,

— Więc... czego on chce od niej? z czym tu przyjechał?

Patrzyła mu w twarz, starała się wyczytać w surowych, napiętnowanych bólem rysach jego zamiary.

— Panie Pawle?...

Ujrzała błyskawicę, zapalającą się w jego szarych oczach i dwie głębokie brózdki, żłobiące się na jego mocno sklepieniu czole.

Ogarnął ją dojmujący smutek i tkliwe współczucie na widok kilku srebrnych włosów w jego czarnej, bujnej czuprynie.

— Wiele już musiał przeżyć! A przecież jeszcze młody! — pomyślała

Zsunął krzaczaste brwi.

— Z czym tu przyjechał?... Bóg mi świadkiem, jechałem tu z jedyną, wyłączną myślą zobaczenia pani... Ale gdym panią ujrzał, zrozumiałem...

— Panie Pawle!...

— Zrozumiałem, że są na świecie rzeczy, przed którymi człowiekowi... przed którymi się nam bronić nie wolno, przed którymi uciekać nie wolno... przed którymi wszystko winno ustąpić, które się powinny stać i od których odstąpienie — to zbrodnia. Taką rzeczą jest moja... jest nasza miłość... Wszystkie drogi, wszystkie ścieżki naszego życia wiodły nas tu, ku tej miłości... Ona jest najwyższym celem i wypełnieniem naszego człowieczeństwa... Niczem jest bez ciebie, i wszystkim przy tobie! Słyszysz?... Czy słyszysz?

— Co pan mówi? Co pan mówi?

Wyszarpywała mu się z rąk, odpychała go od siebie.

— Słowo me dałam mężowi!..

Gerstman pobladł, wszystka krew ściekła mu do serca, oddychał z trudem: Krcek. Zwątpienie straszliwe, jak klęska, otwarło mu ponury widok na wszystką ich trojga sprawę. — Jeżeli słowo, które dała temu marnemu człowiekowi, zdolne jest lec jak tram między nią, a mą miłością?... To znaczy, że jestem teraz dla niej niewygodnym przybyszem, który winien stąd odejść copędzej, człowiekiem spóźnionym, conajwyżej przechodniem, któremu kiedyś pozwolono uszczknąć płatek lubystka, i o którym sądzono, że — delikatny i o więcej prosić nie przyjdzie! I znaczy to też, że uwiędła od starości i niedosytu jej miłość ku mnie.

Pani Ela położyła mu rękę na ramionach. Była teraz spokojna i opanowana. Mówiła że prawdą jest niezłomna wola miłości, że święte są jej prawa i nakazy, i że ona, Ela, kocha go, i poszłaby na kraj świata...

— Więc?..

— Pawle!..

Mówiła mu, że jest nieszczęśliwa i kamienowana przez życie, i że poświęciłaby bez wahania spokój i kwiaty męża, i odeszłaby stąd w tej chwili, choćby zaraz... Bolesnym szeptem powtórzyła, — że jest kamienowana przez życie... Gerstman dojrzał pod tem jej powiedzeniem otchłanie cierpienia. Odeszłaby stąd w każdej chwili, powtórzyła.

— Pawle! Gdyby nie — syn! Bez niego stąd nie odejdę, a odbierać go mężowi... nie mam prawa: to nasze dziecko! On je kocha prawdziwie!.. Nie mam prawa!..

Łzy nakłęśły jej w oczach i zaczęły spływać, ciężkie, przejrzyste grochy, po policzkach. Gerstman opuścił głowę i tępym wzrokiem ugrzązł w jakimś

kamyczku na ścieżce, który zasłonił mu cały świat. Szła przedwieczorna godzina. Wstęgi różowego zachodu mierzchły na widnokręgu. Do ogrodu przenikł chłód. Drzewa stały nieruchome, pobożne mnichy, odmawiające modlitwy o zachodzie słońca. Zcicha kląskawa sadzawka o piaszczyste brzegi. Nagle z jednej z bocznych alejek rozległ się dźwięczny, jak sygnałturka, głos dziecka:

— Mamusiul!.. mamusiul!..

Pani Ela odwróciła w tamtą stronę zasmucone wejście, i jej twarz rozjaśniła się w łagodnym uśmiechu.

— Auto stoi przed furtką, pewno tatuś przyjechał?

Jureczek pędził co sił do matki, ale nz widok obcego mężczyzny zatrzymał się o kilka kroków przed ławką, poczem nieśmiało podszedł do pani Eli i stanął między nią, a Gerstmanem.

— Kto to jest? — szepnęła matce do ucha.

— To nasz przyjaciel!..

Jureczek obciągnął na sobie zieloną, aksamitną kurtkę, poprawił twarde, wykładany, szeroki kołnier, który mu się wykrzywił i białą krawatę, nakrapianą w zielone groszki.

— Przywitaj się z panem.

Jureczek niechętnie, jakby z obawą, podawał Gerstmanowi rękę. Ten przyciągnął go ku sobie i ogarnięty nieopanowanym uczuciem na widok jego niewinnej, spokojnej, szczupłej twarzyczki, przywarł ustami do jasnych włosów chłopca. Jureczek zdawał się być wzruszony tym objawem czułości, ścisnął mocno, bardzo mocno swą małą rączką palce Gerstmana. A gdy zobaczył łzy, które zawisły na rzesach mężczyzny, zarzucił mu ręce na szyję i przytulił się do niego, jakby w bezradnym pocieszeniu i niemej prośbie — żeby nie płakał. Gerstmanowi mroczył się we łzach świat. Oparł głowę na ramieniu Jureczka.

— Jakżeby ja ci mógł odebrać matkę? — myślał, czując przy sobie drżącego, jak trzymany w ręce ptak, chłopca.

— Jakżeby mógł?...

Naszły go i obiegly sprawiedliwe, zatroskane myśli. Tłumaczyły mu i przekonywały, że słusznem jest, by pani Ela została przy Jureczku, że nie wolno jej stąd odejść, że nie wolno jej porzucić tej placówki i zostawić na pastwę szalejącym huraganom życia — kielkującego w duszy Jureczka człowieczeństwa. Że macierzyństwo jej — to zbudowany w duszy tego dziecka ołtarz, i wszystka objata miłość i winna być tam złożona. I że nikt się nie odważy odebrać Jureczkowi osłaniającej go miłości matczynej.

Wysokie niebo nasiąkało klarowną, granatową cieczą, na północy zamigotała, jak odnaleziony kamyczek brylantu, pierwsza, samotna gwiazda. W alejkach ogrodu wałęsał się bezpański, jak pies, wiatr.

I gdy Gerstman podniósł wzrok z nad ramienia Jureczka, nie zobaczył już przy sobie pani Eli. Odeszła niepostrzeżenie i bezszelestnie, jak zjawa.

Jureczek ciągnął go za rękę, brykając i swawoląc.

— Mamusia poszła do domu, chodźmy za nią. Poszli. Jureczek na przedzie, podskakując i ciągnąc Gerstmana ze wszystkich sił za rękę. Przy jakimś klombie Jureczek się zatrzymał i pokazywał ręką na maleńki wzgórek ziemi.

— To jest grób ptaszka, czyżyka. Spadł z drzewa i zabił się, taki mały, jeszcze nie potrafił fruwać. Wyłożyłem pudełko od lekarstwa mamusinego watą, włożyłem tam czyżyka i zakopałem go w ziemi.



— Było mi go tak żal... tak bardzo żal... — wyznał Gerstmanowi tę wielką tajemnicę swego serca, a widząc, że znalazł sobie uważnego słuchacza, pociągnął go w kierunku zabudowań, na dziedziniec służbowy, sąsiadujący z ogrodem.

— A tu zasadziłem w zeszłym roku kasztan, widzi pan, wyrósł.

Muskał delikatnie wąty pręt płonki.

— Ale cóż z tego, kiedy tędy pędzą bydło na pastwisko, i krowy mi zatratują moje drzewko.

— Kto widział, Jureczku, sadzić drzewko na środku drogi?

— Właśnie! Ale byłem jeszcze wtedy niedoświadczony, dzisiajbym już tego nie zrobił — wyznał z powagą.

Szkoda drzewka. Jureczek był niepokieszony.

— Ale chodźmy do mamusi.

Szary zmierzch czał się, jak zbrodniarz, za krzakami malin i agrestu, gęste cienie okwefiły mrokiem korony drzew. Z okien willi spływały łagodne smugi elektrycznego światła. Cisza i spokój wiosennego wieczoru oczarowały zmęczone serce Gerstmana. Doznawał błogiej łaski ukojenia, stawał się prosty, bezgrzeszny i beztroski, jak Jureczek. Uśmierzyły się w nim cierpienia i zgasły.

Jureczek podciągnął się pod okno i wspiał się na palcach, żeby zajrzeć do wnętrza, ale napróżno.

— W tym pokoju powinna być mamusia, niech pan zajrzy!

Gerstman zajrzał i cofnął się przerażony.

— Nie, tam niema nikogo! — skłamał.

Prowadził za sobą zdumionego Jureczka, oszalały z bólu i rozpacz. Obraz leżącej na sofie i wstrząsanej okrutnym, tłumionym szlochom kobiety ścigał go, jak srogi wyrzut. Wszystka niedawna męka nakłęsa znowu w sercu.

— Śpieszę się, Jureczku, śpieszę się bardzo! Pożegnaj odemnie mateczkę.

Głos mu uwiązł w krtani. Podniósł Jureczka z ziemi i długo trzymał na rękach. Chłopiec uwiesił mu się na szyi i błagał:

— Niech pan zostanie! Niech pan zostanie!

— Nie mogę, Jureczku, nie mogę!

Ogromnym wysiłkiem woli zdusił w sercu hydry rozpacz. Jakby na pożegnanie, spojrział w jasne, niebieskie oczy chłopca. I w jednej chwili Trzpis i Krcek ze wszystką swą całą kompanją stanęliśmy w całej ohydzie przed oczyma. A po tej stronie, jak dojmujące osamotnienie w ogromie krzywdy — Jureczek i pani Ela. Przerażoną myślą ogarnął rozwścieczone nawałnice grzechu i zbrodni, szturmujące do samotni, w której wzrastał, jak szlachetna płonka w cieplarni. Jureczek. Spazm bólu ścisnął mu gardło. Nie mógł mówić! — Leczył ty!... Trzymał długo Jureczka na ręku, pełen trwogi i posępnych zwidzeń przyszłości.

— Jureczku, jeżeli ty... — Głos mu się załamywał i gasł. — Gdybyś mógł wiedzieć i rozumieć czym ty jesteś dla nas!! — Chłopczyna drżał cały, spłoszonym wzrokiem patrzył Gerstmanowi w twarz, wreszcie pogłaskała go pobłażliwie małą rączką po policzku, jakby z chęcią uśmierzenia burzy, która rozdzierała mężczyznę. Tedy Gerstman przestał wątpić. Oświeł nadziei rozświetliła się w nim, jak zorza, wbrew wszelkie przesądzenia i smutki. Rozumiał: dojrzeje cudowny owoc na tej mierzwie nieszczęścia i krzywdy Jureczka i Elżbiety. Czuł na swej twarzy przyspieszony oddech chłopca. — Kiedy dorosisz... kiedy już będziesz duży... mówił do niego, jakby mu udzielając wiatyku na ciężką drogę życia, skąd się więcej nie wraca. — Powiedz, Jureczku... kiedy już będziesz duży... to będziesz lepszy niż my... niż oni wszyscy!... powiedz!...

— Będę! — powiedział z powagą Jureczek.

Gerstman odetchnął głęboko, i wzniosłszy głowę w górę, ujrzał zdumiony, rzęsiściej srebrenych gwiazd na szafiorowem niebie.

K O N I E C .

## DRUKOWANE WIERSZE



Do ścian się przykleiły wyrazami bez sensu,  
Zgubiły swe więzadła, słów stały się zlepkiem —  
Niby kości rozrzucone i odarte z mięsa,  
A krwią jeszcze pachnące, czemś gorącym i lepkiem.

Najtajniejszych sekretów rój wyfrunął słodki,  
Dogonić nie można, nie można ich za nic —  
Wciskają się wszędzie, jak jaskrawe ulotki,  
Co na rogu ulicy rozdaje postaniec.

Wiersze biegną przez jezdnie, tratowane na części  
Fruwają po asfalcie, w kominów płyną dymie —  
— Ale co ja zrobię, gdy z zaciśniętej pięści  
Wydrze się ostatnie — twe najdroższe imię?





PAOLLO MONTEGAZZA

# JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGIENY MIŁOŚCI)

## II.

W przedzień naszego przybycia na Madere radość Williama była pełna niepokoju, niemal chorobliwa. Mówił w sposób urywany, sto razy zamykał się w swej kajucie i sto razy wychodził na pokład. Wielokrotnie w ciągu dnia spoglądał na zegarek; usiadł do stołu wraz z innymi, lecz nie mógłby z pewnością powiedzieć, co jadł i z kim sąsiadował. Noc spędził na pokładzie.

Rankiem dnia siedemnastego wszyscy podróżni byli na nogach, pochłonięci jednym i tem samym pragnieniem: zobaczenia ziemi, któraby uleczyła ich odrazu z długiej a dolegliwej nudy morskiej. Williama nie było i jakkolwiek mało go znałem, zrozumiałem przyczynę tej nieobecności. Wypatrywał z pewnością łądu z okienka swej kajuty, miał przed sobą węższy, niż my, widnokrąg, lecz spoziierał nań sam; nie czuł wokół siebie uciążliwej bliskości obojętnego tłumu, a harmoniji jego serca nie zakłócały gawędy intruzów.

Pierwszy widok oczekiwanego raję był raczej sceną z piekła dantejskiego. Olbrzymie masy beznadziejnie czarnych bazaltów i skał chropawych, wbitych w morze, — postrzępione i skręcone, pozbawione wszelkiej roślinności i sadyb ludzkich, a pod nimi — spienione fale, rozpryskujące się z łoskotem. Tam i tam, w pobliżu brzegu wysepki, równie czarne i równie bezdrzewne, zżarte przez fale, popękane i rozdarte, niby ruiny jakiegoś świata, niszczonego przez podziemny ogień. Dotarliśmy do mostu Saõ Lourenço, minęliśmy trzy wyspy Desertas, malujące w tej naturze swą historję wielce niezawilą a smutną, i — zaraz potem — przylądek bazaltowy nieco większy od innych, Cabo Gardjaõ. Tu zaczynał się rzeczywiście Raj.

Wybiegła ku nam woń kwitnących ogrodów wraz z tchnieniem ziemi, a ziemia ta była jednym czarem, jednym uśmiechem wirydarzy i will, pól zielniejących i przedziwnych gajów, była jedną girlandą wszelkiego kwiecia, jednym z owych wielobarwnych obrazów, co radują serce ludzkie i darzą głębokiem, pełnem ulgi, tchnieniem

Wkrótce byliśmy przed Funchalem, stolicą Wyspy, zda się, spoczywającą łagodnie pośród pól trzciny cukrowej i kukurydzy, pośród ogrodów, bujniejszych od naszych, europejskich, oraz fantastycznych gajów bananowych o liściach olbrzymich i aksamitnych. A wokół ze wszystkich stron otwiera się wielki amfiteatr gór niebotycznych, istnych skał olbrzymów, wszystko zaś, niby obraz w ramach, dwóch oceanów, zbyt wielkich zaprawdę dla tego gniazdka miłości: oceanu morskiego i oceanu niebieskiego, i trudno było rzec w owej chwili, który z nich jaśniał mocniejszym błękitem, czy też szafirem.

Trzykrotnie już przepływałem obok Madery i zawsze słyszałem, jak z piersi najbardziej pospolitych podróżnych wyrwał się krzyk duszy: czemuż nie mam jakiegos domku na tej zaczarowanej wyspie?

Największe w życiu rozkosze są do siebie podobne: niby kwiat, dopiero co spadły z piersi młodej małżonki, — podejmuje się je na drodze, a one, obdarzywszy chwily upojenia, ulatują, zanim niespokojna dłoń nasza zdoła zatrzymać je lub przywołać; ulatują, by zgubić się w świecie nieskończoności, jak chmurka, roztopiająca się w bezkresach niebieskich.

Czar owej chwili miał trwać krótko: okrzyk stu głosów, piekło stu przekleństw portugalskich, szorstkich w formie, a bardziej jeszcze w treści, przypominał nam o konieczności wysiadania i znalezienia jednej z owych licznych łódek, które tłoczyły się impertynencko dokoła Thame's'u. A potem ledwo wylądowawszy, wśród okrzyków i wycia, musiałem siłą torować sobie drogę między tłumem ludzi półnagich, proponujących mi konia lub innych, w płaszcach, proponujących hotel, między sprzedawcami lasek i sprzedawczyniami koronek, i całą masą wszelkich mężczyzn i kobiet, którzy w trójjęzycznej gwarze francusko-angielsko-portugalskiej czegoś wszyscy pragnęli odemnie, choć ja nie chciałem od nich niczego.

Stało się: chwila czasu minęła, lecz jam wyrwał ją w owej skrytce serca, gdzie nic się nie zaciera. W bilansie sił życiowych osiem dni podróży nagrodziła z nawiązką przelotna fantasmagorja panoramy Madery. Teraz rzeczywistość wzywała mnie do osobistej obrony, do praktycznego poznania Funchalu, słowem poezja ustępowała miejsca sprawom administracyjnym.

William nie wylądował wraz z nami.

Promyk poezji błysnął mi też przy śniadaniu: kieliszek starej Madery, tego wina, które w owej epoce już wymierało, z zazdrosem skąpstwem sączone przez szczęśliwców, ukrywających je w sekretnych zakamarkach swych piwnic, — a potem filiżanka kawy, jakiej — wyznaję — nie piłem nigdzie w Europie, Afryce lub Ameryce. Podczas gdy ją chłonał w rozkosznem skupieniu pamiętam, iż zamyśliłem się pogodnie nad skutecznością wychowania. Kawa ta nie pochodziła ani z Mokki, ani z Joungeas: wyrosła skromnie w ogrodzie miejskim owego krajowca, który ofiarował mi uprzejmie gościnę; lecz on sam doglądał z miłosną troską, jak dojrzewało ziarno po ziarnku, sam zebrał je, gdy długoletnie doświadczenie powiedziało mu, że są już godne owych filiżanek złoconych, z Chin rodem. Wkrótce po

wysączeniu kawy i po filozoficznych medytacjach o wszechpotędze szkoły w dziele ulepszenia rzeczy tego świata, siedziałem na koniu, jako uczestnik kawalkady podróżnych z Thame's'a, którzy postanowili odbyć wycieczkę do Palheiro do Ferreiro, willi hrabiego Carvalhal, słynnego patrycjusza portugalskiego, pierwszego, który sprowadził zaby na tę wyspę, nieposiadającą ich przedtem ku swemu wielkiemu utrapieniu. Konie i jeźdźcy jęli z niecierpliwością przebiegać ulice Funchalu i, choć zapachy rozległej kampanji ciągnęły mnie nieprzeparcie, musiałem zatrzymać się





przed tym i owym z pośród malowniczych sklepików, gdzie sprzedawano wszystko, co jest do sprzedania, gdzie mieszkańcy gromadzili się tłumnie dla kupna chleba, wina i innych produktów spożywczych. Owe vendas nadają się najlepiej do studjów nad popolitym ludkiem Funchalu: tam ujrzyć można, jak stare mieszczyki, zażywające — wszystkie — tabakę, zaopatrują się nerwowo w swój przysmak i gawędzą między jednym niuchem a drugim; tam znajdzie się arrieiro, mulnik, i wieśniak, pijący swój kieliszek aguardente.

Na drzwiach każdej vendy wypisane są trzy litery kabalistyczne P. A. V. reprezentujące główne potrzeby życia ludzkiego: Paô, Aguardente, <sup>1)</sup> Vinho. Gdzieindziej widać napis: Diferentes bebidas <sup>2)</sup>.

Minęliśmy już Rua da Carreira, główną ulicę Funchalu, już jesteśmy poza miastem, które wraz z swą szesnastotysięczną ludnością nie może, oczywiście, pomieścić się długo na ulicach, i tu, gdzie jesteśmy, zaczyna się ogród, bowiem cała wyspa jest ogrodem. Odsunąłem się nieco od swych towarzyszy, chcąc sam, sam jeden, lubować się wonią tej przebogatej przyrody. Jedziemy pod górę pnącą się droga, zamkniętą między omurowaniem, pędzimy wśród pól, lecz jakaś dobra dusza zasiała tu prócz chleba powszedniego i kwiaty, i tam i sam padają roztrzęsione pęki kwitnących heliotropów, geranium, róż. Niejednokrotnie głowy nasze ocienia sklepienie utkane z powojów i caprefoljum. Podnoszę się w strzemionach, chwytając aromatyczny owoc, schylam się w obie strony i zrywam pełnemi garściami różnobarwne kwiaty. Obfitość usprawiedliwia tę kradzież. Towarzysze moi i towarzyszyki powiększają zdobycz i nie wydaje się, by nasze łupiestwo powodowało jakikolwiek uszczerbek. Ręce nasze nie mogą już utrzymać zdobyczy, czynimy więc walkę kwiatową, rzucając róże na goździki i zatapiając włosy i ramiona pań ulewą fijołków. Opanowuje nas orgja zapachów: od czasu do czasu odwracam się, spoglądam ku Oceanowi, a woń kwiatów miesza się z ostrą świeżością fali morskiej.

Droga, prowadząca do Palheiro, pnie się na dużej przestrzeni pod górę, tak że trzeba posuwać się stępą, lecz gdy tylko staje się nieco równiejsza i daje ostrogę koniowi, jak gdyby pragnąc pograć się w owej zaczarowanej przyrodzie, w owem morzu rozkoszy, spostrzegam, iż mój arrieiro uczepił się oburącz ogona mego rumaka, każąc mu ciągnąć się, ze zwisającymi nogami, w najkomiczniejszy sposób. Zaczynam się śmiać i zwracam uwagę najbliższej jadącej pani, że i jej koń wlecze ze sobą takiż dziwaczny ciężar. Śmiejemy się razem, wybuchając wesołością, lecz obaj arrieiros, przybrani w swą carabazę beret sukienny, błękitny wewnątrz, a szkarłatny z wierzchu, i tak mały, że zakrywa ledwo czubek głowy, — istny paradoks w gorącym kraju, niewzruszenie zachowują całkowitą powagę na swych honorowych miejscach, czy to gdy jadę truchtem, czy też pędzę galopem.

Powoli i ja staję się poważny, próbując „sportualizować“ swą włoszczyznę, i oświadczam owemu jemuści z tyłu, że chciałbym jechać sam; lecz on, bądź nie rozumie mojej portugalszczyzny, bądź też nie chce

jej zrozumieć, co wywołuje skutek jednaki. Nie tracę jednak nadziei i staram się ulepszyć swą wymowę. Daremny trud! Arrieiro wisi ciągle przy ogonie mego konia. Tu tracę cierpliwość, daję pokój swej portugalszczyźnie i, klnąc uczciwie po włosku, przechodzę do języka powszechnego, zbliżającego wszystkich ludzi, niby jedną rodzinę, — do języka gestów. Uderzam dwa, czy trzy razy szpicrutą po rękach arrieiro, który, klnąc z kolei, puszcza zdobycz i zostawia mnie samego na koniu.

Bodajbym tego nie czynił! Ów żywy dodatek był, jak się zdaje, niezbędny do normalnego biegu rzeczy, ledwo go nie stało, koń mój zagryzł wędzidło i popędził pośród murów i ogrodów tak, że niepodobna było pohamować go bodaj przez chwilę. Sytuacja moja była przykra, lecz stała się niebawem nieznośna. Wierzchowiec mój rzucił się nagle w jakąś boczną drożynę, niemal nie do przebycia i biegnącą skrajem przepaści. Nogi moje uderzyły o kamienie muru, wzrok ginał w zapadlinie bezdennej, podczas gdy koń, parskając i tocząc pianę, pędził jak opętany. Był to błysk jednej chwili — całą siłę skierowałem ku jednemu: utrzymać się w siodle, lecz mózg mój rozbiegany zdołał sformułować myśl, której nie potrafię nigdy zapomnieć: co będzie, jeśli za chwilę kości moje znajdą się na dnie tej otchłani? Uczułem chłód przenikliwy, nagły, który, niby powiew niespodziany na jeziorze, wstrząsnął całym moim ciałem.

Lecz już udało mi się opanować swego bieguna; straciwszy właściwy kierunek oraz towarzyszy, ujrzałem się na jakiejś szerokiej i pięknej drodze, lekko spadzistej, pośród pól trzciny cukrowej i kukurydzy..

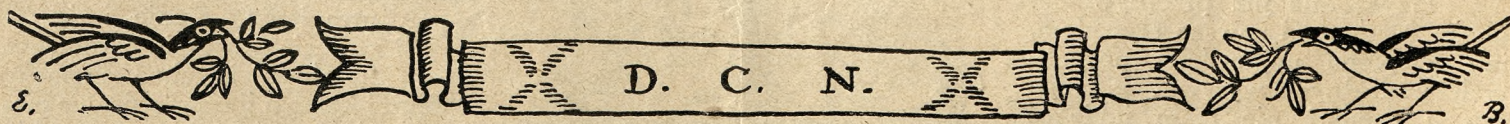
Koń mój był pokryty potem, ale i ja również. Przedemną otwierało się morze, zda się tuż blisko, a na jego powierzchni o lazurze bez nazwy biały żagiel płynął cicho i zazdrośnie. Nagle na zakręcie drogi, lecz o jakie sto kroków od siebie, spostrzegam młodą kobietę na koniu, samą jedną. Zdawało mi się, że śnie, że to zjawia arjostyczna. Koń szedł stępą, a kobieta, puściwszy cugle na jego szyję, pochyłona wyglądała, jak zmęczona, lub chora. Długa amazonka błękitna obciskała postać jej, szczupłą, lecz harmonijną. Głowa o kształtnej szyi była również pochylona, a z pod kapelusza z czarnego aksamitu, przybranego bażanciem piórem, spadały na ramiona gęste blond włosy.

Chciałem, tknąwszy konia, podjechać ku owej zjawie fantastycznej, lecz zamach mój, nie czyniąc żywej przeciwwagi dla swych zapalów, pomknął znowu wzdłuż drogi, jak strzała, dopędził w mgnieniu oka ową damę, a ja ledwie miałem czas spostrzec, mijając ją, że i jej wierzchowiec, opanowany nagłą żądzą współzawodnictwa, rozpoczął takąż szaloną gonitwę. Drżałem z obawy o nieznaną, lecz byłem zupełnie bezsilny, gdyż na skrzydłach swego szatana pędziłem i pędziłem bez przerwy.

Hamując z całych sił jego zapędy, usłyszałem za sobą galop drugiego konia, spojrzałem — na siodle nie było nikogo. Niebaczny już na kaprysy swego wierzchowca, zawróciłem i nieopodal zobaczyłem na skraju drogi piękną damę — zemdloną.

<sup>1)</sup> (Chleb, wódka, wino).

<sup>2)</sup> Różne napoje.





# NAJPIĘKNIEJSZE GODZINY „ZATRZYMANEGO ZEGARA”

(Refleksje nad twórczością Wandy Miłaszewskiej).

Tam jest myśl moja,  
Gdzie jest serce moje.

Inwencja twórcza pewnych organizacyj psychicznych bierze swe źródło i początek w momencie uczuciowego wzruszenia. Ten typ twórczy możnaby nazwać typem lirycznym, bez względu na formę, w jakiej się jego emanacja uzewnętrznia i utrwała. Jest rzeczą niesłychanie ciekawą, że artyści, należący do typu lirycznego, czy wzruszeniowego, zazwyczaj nie zdają sobie sprawy z istoty subiektywnego faktu, rozumowo, a najczęściej błędnie tłumacząc sobie genezę zjawiska, któremu na imię; „indywidualność twórcza”.

Z naiwnością dziecka szukają źródła swych założeń artystycznych w teorjach i postulatach ideowych, zapominając o zdrowej zasadzie Goetego: „grau ist jede Theorie“, „szarą jest każda teoria“ i że nie intelekt tu rozstrzyga, ale upodobanie. Z mętów podświadomego instynktu, utajonych w najgłębszych złożach ludzkiego „ja“, biją najczystsze źródła twórczości, nieskalanej jadem założeń społecznych, niezatartej oddechem doktryny.

Wybór odtwarzanej przez danego artystę rzeczywistości, rozpatrywany pod tym kątem widzenia, nabiera szczególnych walorów. Złudzeniem jest mniemanie, że prawda jest tylko jedna. Ten sam model, rysowany przez dwudziestu uczniów akademii, rozrasta się w dwadzieścia aktów odmiennych, z których każdy jest wiernym odbiciem rzeczywistości na siatkówce i świadomą projekcją artystyczną poszczególnego subiekta. Znane są próby kontrolowania pamięci, możliwości i wyobraźni odtwórczej drogą zdawania sprawy z pojedynczego faktu przez cały szereg świadków, z których każdy znajduje w danym fakcie element odmienny. Czem się to tłumaczy?

Kątem, pod którym dana indywidualność ustawiona jest do rzeczywistości. Bójka Bartka z Mackiem będzie miała zgoła inny rysunek, koloryt i wyraz w opowiadaniu fernala i pani z miasta. Każdy z przygodnych rapsodów będzie patrzył na jeden i ten sam fakt przez pryzmat odmiennych upodobań. Pani ustawi się do niego pod kątem dobrego tonu, wernisażu kultury i czułościowości istoty, nie znoszącej widoku krwi — chłopca w całym zajściu, będzie pociągał ostry zapach siły mięśniowej, krzepki jak gorzałka, wyskok energii i żywiołowej pasji. Epickiego blasku i czaru wyjątkowego nabierze ta pospolita burda pod piórem jakiegoś, dajmy na to, Reymonta.

A jednak każde z tych opowiadań będzie dokumentem artystycznym, właśnie dzięki swej pozornej nieściłości. Gdybyśmy ją zniwelowali drogą wyeliminowania punktów jednoznacznych, otrzymalibyśmy szkielek syntetyczny, bez mięsa i kości t. zw. „goły fakt“, który w istocie rzeczy jest fikcją fanatyków prawdy, podobnie jak „naga dusza“ była fikcją wyznawców psychicznej czystości. Protokół sędziwego śledczego nie jest tworzywem artystycznym, może być tylko osi, wokół której narasta kryształ wzruszeń według praw, jemu tylko właściwych.

Te prawa zmieniają się każdorazowo stosownie do indywidualności twórczej, jaką poddajemy naszemu badaniu. Inaczej mówiąc, utworu artystycznego

nie wolno nigdy sądzić a priori, wedle przyjętych z góry zasad i miar, ale a posteriori, mierząc go skalą jego własnych chemicznych składników.

Powracamy tu do naszego pierwotnego założenia: do wyboru rzeczywistości. Nie mamy prawa robić zarzutu autorowi, albo wychwalać go zato, że odtwarza taką lub inną jej stronę, możemy zapytać tylko, dlaczego to czyni?

Na powieściach p. Wandy Miłaszewskiej, tak dobrze znanym czytelnikom „Bluszczu“, sprawdzić możemy najdokładniej zasadę, postawioną na czele naszego studjum: „Tam jest myśl moja, gdzie jest serce moje“. Świadomość, wyobraźnia, wola twórcza, wszystkie władze intelektu są wprzęgnięte w służbę podświadomych nurtów wzruszeniowych, biegnących równem, wyraźnie zakreślonym łożyskiem w kierunku wskazań uczuciowych. Serce jest tym jęczyciem u wagi, który przechyla szalę.

Już w jej pierwszej powieści p. t. „Cmentarz i sad“ szala sentymentu przechylała się zdecydowanie na stronę przeszłości. Świat nowy, powojenny, świat nicowanych ideałów, przewartościowywanych na wszelkie sposoby wartości, form próbnych życia które się zmienia i odrzuca częściej niż rękawiczki, cały ten piekielny kocioł, produkujący masowo odlew, ale niezdolny do wydania choćby jednego posagu, nie znalazł serca u Wandy Miłaszewskiej. Odwróciła się ona od niego według nieśmiertelnej zasady: „guarda e passa“, dając wersalski wyraz swej niechęci nie w czynnej pogardzie, ale w uprzejmym ignorowaniu. Cała jej istota uczuciowa rzuciła się impulsywnie w objęcia świata innego, dogorywającego samotnie w starych kresowych dworach, plebanjach sadach i cmentarzach. Nie zuchwałemu kondotjerowi jutra, depcącemu bezlitośnie pierś dnia wczorajszego, ale właśnie temu powalonemu a szlachetniejszemu zapaśnikowi uwiła sielski wieniec z bławatków skabiozy, nieśmiertelnych i ruty. Z umysłu pominęliśmy maki w tej równi, której barwy były zgaszone niby przez mgłę oddalenia, a może rozproszone w czystym kryształach leż.

Przypomnijmy sobie, że pierwsza powieść Wandy Miłaszewskiej „Cmentarz i sad“ nosiła początkowo tytuł „Księga Umarłych“. Podświadomie autorka zdawała sobie sprawę, że rzeczywistość, odtwarzana przez nią z taką miłością i pietyzmem, jest zgóry skazana na wymarcie. Nietylko wszechpożerczy ogień wojny ją spopielił, ale rozproszkowały ją, zamuliły, podmyły mętne fale powojennego wylewu chamstwa. Pod tym kątem widziana, słodka, prosta i czysta, jak wiosenny poranek dziewczyna kresowa, ginąca z ręki tłuszczy bolszewickiej, wzrasta do miary symbolu. Mogłaby nie zginąć, gdyby ktoś ocenił ją w porę.

Mogłaby dźwigać na swoich barkach, jak grecka kolumna, strop nowego domu Polski, a rozplynęła się pod darniową mogiłą na mglistą zjawę wspomnienia. Wprawdzie to wspomnienie ma siłę nakazu moralnego, ale nie ma świętości życia. „Księgę Umarłych“ zamknął wizerunek ostatniej z pokolenia, któremu na imię było „szlachetni“. W tem zamknięciu „w tem memento mori“ tkwi środek ciężkości powieści i jej romantyczny czar. Nie w przeszłość, ale w przeszłość rzucona jest projekcja ideału. Wiedziona



niec teoretycznym poczuciem sprawiedliwości społecznej autorka, ulegając jednocześnie zrozumiałej pokusie pokrzepienia serc, kazała dzielnej dziewczynie z miasta, zdrowej fizycznie i duchowo „ogrodnicze“ szczepić złote renety życia na uschłym drzewie śmierci. Chcemy wierzyć, że drzewo to zakwitło, ale nie możemy się oprzeć wrażeniu, że to jabłoń cmentarna. Padające z niej srebrne rosy są jak lzy wylane nad kimś bezpowrotnie odchodzącym.

W „Księżniczce Dagny“, doskonale utrzymanej w tonie powieści skandynawskich, jest jeden moment, nasuwający ciekawe skojarzenia. Niewidomy chłopiec kupuje dla uwielbianej przez siebie dziewczynki szarą wstążkę do włosów w mniemaniu, że jest błękitną. Możemy być pewni, że autorka Dagny takich złudzeń nie ma. Z zasady unika barw jaskrawych, tonów silnych i natężonego światła. Największe tragedje są tragedjami zmierzchu. Najsilniejszym wstrząśnieniem psychicznym towarzyszy półcień i szepcący ciszy. Załamania życiowe, pospolite, a jednak tak ważne fakty, przecinające istnienie ludzkie jak nożem, uciekają dyskretnie w głąb książki, za kurtynę. Fala życia wyrzuca na brzeg świadomości tylko bladą muszlę, szmerzącą cicho o ranach i ciosach, z których rodzą się perły. Mniejsza o to, kto i dlaczego tę ranę zadał. Sejsmograf Miłaszewskiej notuje skrzętnie najdrobniejsze wstrząśnienia, ale omija wybuchy wulkanów. To nie jest „jej“ rzeczywistość.

Katastrofa małej Dagny, przejechanej przez wóz chłopski, wygląda dziwnie blado wobec tej sceny, gdzie garbuska rozplata swe złote warkocze i kładzie je na kolanach niewidomego chłopca, aby je „zobaczył“.

Cały tragizm małżeństwa Zbigniewa w „Zatrzymanym zegarze“ i bohaterska, lecz bezpłodna ofiara wyrzekającej się go Krysi cechowane są za welonem wspomnień, napomknięć, niedomówień, z dyskrecją, z jaką osoby dobrze wychowane, lub poprostu wyjątkowo subtelne obchodzą tematy drażliwe lub bolesne.

Welon jest wprawdzie dość przejrzyisty, aby fabuła wypukliła się należycie. Tem niemniej nie odbieramy wrażenia, żeśmy ją posiadli. Pozostaje do końca nietykana i dziewicza. Odchodzi od nas jak dym; płomienia nie widzieliśmy ani przez chwilę, choć przysiąc możemy, że był.

Ta pastelowa miękkość nie przeszkadza bynajmniej autorce w kreśleniu typów o ostrym konturze, o zacięciu wybitnie charakterystycznym. Taka np. ciotka Eufemja w „Zatrzymanym zegarze“ jest istnym klejnotem reakcji starszłacheckich mamutów, choć narzuca czytelnikowi refleksje niezupełnie zgodne z tendencjami i upodobaniami autorki. Nie możemy na jej widok oprzeć się na trętnej myśli, czy naprawdę warto tak bardzo żałować tego ginącego świata, patriarchalnych zaduchów, gdzie o losie młodych, rwących się do życia istnień decydowały despotyczne ropuchy, roztkliwiające się mocniej nad astmą ulubionego mopsa, niż nad gasnącą od przedwczesnej gruźlicy biedną krewniaczką.

I podziwiać należy mimozowatą duszyczkę Krysi, że kiedy los podsunął jej możliwość wydostania się z tej katowni, w której marniały lub rozmieniały się na drobne najszlachetniejsze skarby serc kobiecych, ona w imię niewiadomo jakich ideałów, poprostu przez święty nałóg ofiary, rzuca w swoje objęcia parę ludzi, którzy poza przypadkowym słowem „kocham“ nie mają sobie nic do powiedzenia.

Zatrzymany zegar losu mści się. Twarda choć tak wdzięczna i owocna praca nauczycielki ludowej, z przejmującą prawdą oddana przez Miłaszewską, daje wprawdzie ukojenie, ale nie może dać szczęścia kobiecie, trawionej nieuleczalną tęsknotą posiadania własnego ogniska.

Krysią — to miljon. Przez jej usta mówi krzywda tych wszystkich kobiet, które opancerzono przed natarciem wroga puklerzami tradycji, zasad, obowiązków i ideałów, ale nie dano im w rękę miecza, aby swoje szczęście dla siebie wywalczyć umiały. Biada zwyciężonym! Zatrzymany zegar ich dusz (pokazuje może najpiękniejszą i dla nich jedynie prawdziwą godzinę, ale zaprawdę nie jest to godzina przyszłości. Nie próbujmy naprawiać przestarzałych mechanizmów. Antyki są szacownymi rezydentami naszych domów, ale nie drogowskazami wschodzącego jutra.

Godzinę przyszłości powinien wydzwaniać ze świeżego spiżu odlany dzwon. Że na taki metal stać panią Miłaszewską, o tem świadczy szlachetna patyna jej prac dotychczasowych.

*St. Podhorska - Okółów.*

## CÓRKA BOGA

Cauchon, pomijając tę aluzję, poczyną jej dowodzić, że więzien Kościoła staje się winnym herezji, już przez samo usiłowanie ucieczki.

— „Nielza wam rzec, iżech złamała wiarę — odpowiada dumnie Joanna — albowiem nigdy nie dawałam słowa rycerskiego nikomu. Wierę, uchodziłam i radabych jeszcze ujść rąk waszych... ano jakież był kiedy jeniec, coby się na wołę nie kwapił?“

Tym śmiałym tonem i trafnością argumentacji góruje wyraźnie nad zgromadzeniem czterdziestu teologów. Pomieszani, wściekli, tracąc głowę, poczynają gadać jeden przez drugiego, w gorączce podniecenia.

— „Mili ojcowie! — woła oskarżona — gadajciez po porządku!...“

Na drugiej sesji, 22 lutego, sędziowie próbują zmieszać ją z kolei, zadając pytania niespodziane, rozrzucone, bez ciągłości żadnej.

— „Puźać, a igłą robić lepiej nademnie nie zdoła

nijaka niewiasta w Rouen!“ — chwali się Joanna w swych odpowiedziach — a zagadnięta, czemu przy tych zajęciach nie pozostała, wybucha:

— „Niewieścich rąk doma niebrak, zaś nikogo nie było, by się zwał ku onym dziełom, com sprawił!“

— „Byłaś ty kiedy tam, kędy Angielczyków zabijali?“ — rzuca jej znienacka jeden z księży.

— W imię Boga! zali tam byłam?! jakoż wy gadaście słodko! Przecież nie opuszczą oni Francji i nie wrócą do swojego kraju!“

— „Zaiste, dzielna owa niewiasta! — wykrzyknął jeden z duchownych angielskich — szkoda, iż się Angielka nie urodziła!“

Po powrocie do swego lochu, Joanna modli się<sup>1)</sup>.

— „Najśłodszy Boże, przez świętą mękę Twoją,

<sup>1)</sup> Jak zeznawała później, wypytywana przez sędziów o swe rozmowy z Bogiem.



blagam Cię, jeśli mnie miłujesz, objaw mi, co mam odrzekać onym ludziom Kościoła... Co się tycze szat, wiemci z jakowego wziętach je rozkazu — nie wiem ino, jako mi je porzucić. Przeto racz mnie oświecić!”

Na to ufne wezwanie, pociecha niebiańska spłynęła zaraz do udręczzonego serca. A nazajutrz o świcie, obudzona ze snu „Głosami“ swemi, siada na łożu ze złożonemi rękoma, wsłuchując się zapamiętale.

— „Odpowiadaj śmiało! — wołają jej święte Bóg ci dopomóż!”

Dnia tego obcowała z niemi ciągle; jeszcze w nocy przyniosły jej jakaś wieść, tak radosną, że staje przed trybunałem (24.II) promieniejąca i nie może się powstrzymać od niejasnych wzmianek o wspaniałej swej tajemnicy, dotyczącej losów Francji i króla.

Bardzobych pragnęła, iżby go wieść ona wrychle doszła chociażby mi przyszło nie pić wina aż do Wielkiej Nocy...<sup>2)</sup> Weselejby mu się ucztował!

Nagabywana o szczegóły, ucięła krótko: „Nielza mi wyjawić onego-

A potem zwraca się do Cauchon'a, niemal groźnie:

— Powiedacie, iżście sędzią moim — a ono strzeście się, iżbyście źle nie osądzili! Albowiem ściągacie na się srogie obieże..., ostrzegam was, iżbych dopełniła powinności swojej, jeśli was Bóg skarże.

— Jakoż się ono stanie? — pyta biskup, poruszony.

— Święta Katarzyna rzekła mi, iż pomoc niedaleka. Nie wiem zali ono znaczy wybawienie od więzów — zali podczas sądu nastaną jakowe zamieszki i pośród onych wypuszczą mnie?

— Mniemam, iż będzie jedno, alibo drugie. Głosy powiedają mi ciągle, iż uwolniona będę przez wielkie zwycięstwo. A potem gadają: „Córo Boga, bierz na się wszystko ochotnie, nie troskaj się męczeństwem swoim: wstąpisz ty nakoniec do rajskiego Królestwa!” Głosy mówią mi ono sprosta i pewno — chcę rzec: bez ochyby. Moje męczeństwo — toć chyba utrapienia i przeciwności, jakie znoszę w onej wieży — a nie wiem, zali mi przyjdzie cierpieć więcej jeszcze. Aliści spuszczam się na Pana naszego...

Było w tem ostrzeżeniu bezbronnej dziewczyny coś, co przeraziło biskupa<sup>3)</sup>. Jakby mszcząc się porażki swego przełożonego, Beaupère zagadnął ją znieknacka:

— A wiesz ty, zaliś jest w stanie łaski?

Pytanie to, dotyczące zawilej subtelności teologicznej, było wobec młodzietki analfabetki, wprost bezprawiem; nawet ktoś z assesorów zauważył to głośno i szmery podniosły się w sali. Lecz Cauchon nakazał ciszę — wszak szło o to właśnie, by zastawić misterną pułapkę na oskarżoną. Jeśli odpowie „nie“ — to potępi własnymi usty siebie i swą misję — jeśli zawoła „tak“!, to zgrzeszy ciężko, katolik bowiem nie ma prawa nigdy zuchwale przesądzać takiej sprawy... A Joanna odrzeczce spokojnie i poważnie.

— Jeźlim onej zbawiona, niechaj Bóg mi ją ześle! A dano mi ją zasię, obym jej nigdy nie utraciła!

Sześciedzięciu doktorów wpatrzyło się w nią z podziwem.

— Dzielna owo odpowiedź! — zawołał jeden z nich.

27-go lutego, na początku sesji, obwiniona nalega, by sprowadzono protokół badań z Poitiers, jako ważny dowód jej niewinności. Pomijając to żądanie, sędziowie poczynają wypytywać ją szczegółowo o wizje; jak i kiedy jej się ukazują, co mówią.

— Zali Głos ma oblicze i oczy?

— Nie rzekę wam. Pomne ja, co starzy powiadali małym dzieciom: niejednego powiesili za to, iż prawdę gadał...

— Gdy Głos on nawiedza cię, widzisz wówczas światłość?

— Nie wszystkie światła do was przychodzą, mój piękny panie! — odpaliła Joanna.

Jednym z poważnych zarzutów była kwestja męskiego ubioru, który nosiła uparcie; sędziowie wydęli ją do rozmiarów jakiegoś bezbożnego buntu przeciw porządkowi świata. Dla uwieżonej zaś szata owa miała znaczenie podwójne: chroniła nieco przed brutalnością strażników, a także była symbolem świętej misji, której Joanna nie uważała jeszcze za skończoną. Zanudzana napomnieniami na ten temat, odpowiada:

— Odzienie, mała rzecz, mniej niżli nic!... Nie wziętach szat męskich za ludzką radą. I ono i wszystko insze czyniłam na rozkaz Pana i aniołów.

Raz, prowadzona na rozprawę, uprosiła księdza Massieu, by jej pozwolił pomodlić się w kaplicy, obok której przechodzili. Mistrz d'Estivel złażał go za to gwałtownie i odtąd sam zawsze stawał we drzwiach świątyni, aby nie dopuścić Dziewicy do stóp ołtarza.

Na sesji 1 marca, tłumacząc pierwszy swój list do Anglików, uniesiona nagle natchnieniem, woła:

— „Siedem lat nie minie, a Angielczyki lepsze cięgi wezmą, niżli pod Orleanem i wszystko we Francji utracą... a to przez walne zwycięstwo, które Bóg ześle Francuzom!

— Zkądże ona wieść?

— Z objawienia, danego mi — zaś wiem ono tak pewnie, jako, że was tu przed sobą widzę!

Teraz zasypano ją gradem głupio drobiazgowych podchwytliwych pytań, o zjawy, ukazające się jej. Niepokoi sędziów np. wątpliwość, jaki miały głos, jakie włosy i „zali było co między ich koronami a włosami?“ Zdziwieni są mocno, że mówiły po francusku, a nie po angielsku.

— Jakoż im gadać ona mową — dziwi się teraz Joanna — skoro nie sprzyjają Angielczykom. — To Bóg nie nawidzi Angielczyków? — podchwytuje jeden z księży.

— Nawidzi onych Bóg, zali nie — nie wiemci ja..., ni jawno mi, co uczyni z ich duszami. Wszelako wiem, iż wygnani będą wszytcy z Francji, okrom takowych, co w niej polegą...

Chcąc jej podsunąć jakieś sprnośe myśli, rzuca ktoś pytanie:

(c. d. n.)

<sup>2)</sup> Wyrażenie obozowe.

<sup>3)</sup> Później badał ją jeszcze bardzo żywo o znaczeniu tamtych słów.





## TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO

(Dokończenie)

Podróżnicy, polujący na małpy, opowiadają wzruszające sceny. Ed. André opowiada, że gdy raz polował na wyjce, spostrzegł samicę, karmiącą swoje małe. — Zamiast uciekać, zasłoniła sobą dziecko. Padł strzał, kula ugodziła matkę w pierś. Wydawszy krzyk rozzwierający, obróciła się wolno, przycisnęła dziecko do piersi i z niem ostrożnie spuściła się na ziemię. Tam, zaczęła rękami tamować i obcierać lejącą się krew, całując rozpaczliwie swoje niemowlę i nie spuszczać ze mnie swoich wymownych, tragicznych oczu. Było coś tak wstrząsającego, szlachetnego i łagodnego w jej twarzy, że wzruszony do głębi odrzuciłem precz strzelbę, a sam rzuciłem się ją ratować. Niestety, było już za późno! Odtąd nie strzelałem nigdy więcej do zwierząt, i odciągnąłem od tego tych, którzy takie morderstwa niby w imię nauki popełniali. Na resztę życia zostało mi straszny poczucie popełnionej zbrodni i obraz zabitej małpy przesładuje mnie często w bezsenne me noce. (Brehm, t. I. str. 61). Byłoby pożądanem, gdyby i szersze masy ludzkości zrozumiały i raz już zaprzestały rozmyślnych mordów nad zwierzętami. Aby sobie ustalić, że wszelkie polowania jest to zbrodnia, morderstwo proste, przelewanie karygodne, bezmyślne, niewinnej krwi. Wszystko co żyje ma od natury dane nie z ł o m n e p r a w o ż y c i a. Nieumotywowane niezbędną koniecznością przerywanie nici tego życia, jest taką samą zbrodnią, jak każda inna!

Jeszcze jedną cechą charakterystyczną z wysokiego poziomu rozwoju u małp, jest to, że one pielęgnują swoich chorych i otaczają ich ogromną pieczołowitością i tklivością. Oczywiście, tu już w pomoc ich intelektowi idzie i rolę ułatwiającą odgrywa ich budowa, to, że one mają ręce, któremi się posługują i dzięki którym mogą swobodnie wykonywać ruchy niedostępne innym zwierzętom, nieposiadającym tych „narządów chwytnych“. Krowa siłą rzeczy musi parzyć obojętnie pozornie, jak współtowarzyszka runie w dół z brzegu rzeki, niema bowiem możliwości fizycznej nieść jej pomoc ani stamtąd wydostać! Wysoka organizacja społeczna małp idzie bezwzględnie w parze z wysokim stopniem rozwoju całego organizmu. Nie można powiedzieć, że posiadanie ręki tak się przyczynia do rozwoju duchowego małpy, ale ręka dana do pracy mózgowi, t. j. gdy wrażenia odbierane rękami skojarzą się z umysłem, który je przetrawi, osiągnie się pewne sprzężenie zjawisk, które w dalszym rozwoju dadzą nam przejawy owej wysokiej organizacji, wznoszącej małpy na najwyższy przed człowiekiem szczebel na drabinie istnień.

Do ssących, żyjących wprawdzie rodzinami tylko, ale mających wysoki, nieledwie pokrewny małpom poziom umysłowy i ciekawe stosunki rodzinne — należą niedźwiedzie. Rosną one powoli i przez to długo pozostają przy rodzicach. Pełni swego wzrostu i rozwoju dosięgają dopiero w 6-ym roku życia i wtedy to stopniowo odsuwają się od rodziców i zaczynają kojarzyć w nowe pary. Do tego okresu trzymają się razem, a w miarę przybywania co roku młodszego rodzeństwa, te, trochę starsze, dwu — trzy letnie pomagają rodzicom wychowywać owe młodsze. Po prostu nianczą je. Pilnują, aby zdaleko od legowiska nie odbiegły, rozdzielają między nie znoszoną przez rodziców strawę, małeńkie noszą na przednich łapach. O ile źle się wywiązują z roli nianiek i bon, rodzice wymierzają im kary, w postaci surowych klapsów

przednimi łapami i nagan groźnym pomrukiem, na co młode owe latorośle pokornie reagują.

Trudno, niestety, w ramach ciasnej pracy tej, objąć i zagłębić się we wszystkie tajniki, we wszystkie organizacje tak licznych grup zwierzęcych, nie mogę jednak na zakończenie nie nadmienić jeszcze o przejawach t. zw. życia przemysłowego u niektórych gatunków zwierząt, jak bobry, lisy, borsuki i krety. Budowle bobrów są ogólnie znane, szeroko omawiane i opisywane. Wiadomo, że domki ich budowane gęsto jedne przy drugich tworzą osady całe i są wewnątrz bardzo złożone. Oprócz sklepienia posiada każdy domek podłogę, dzielącą cały budynek na mieszkanie i skład zapasów. Ściany pograżone w wodzie zbudowane są z materiałów specjalnych, nie łatwo gnilych.

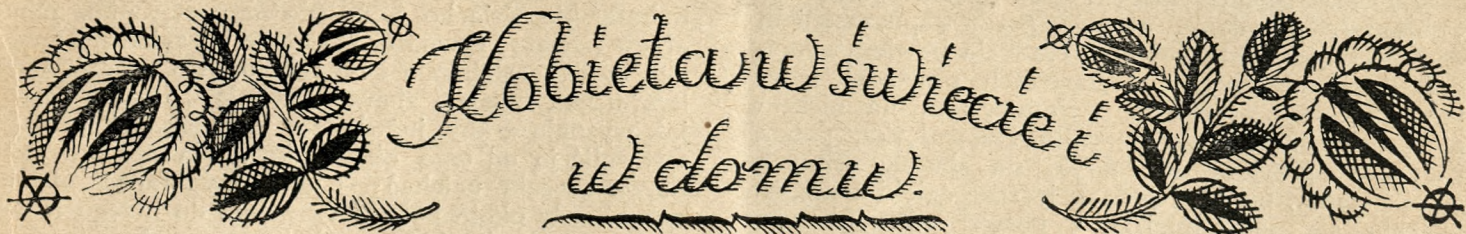
Są tam jamy dla odchodów, pokoje mieszkalne i wychowawcze dla dzieci, miękko wystłane. Korytarze liczne, z których jedne służą do wyjścia, inne, zapasowe, do ucieczki. Lisy i borsuki mają nory podobne ale nigdzie przemysł w państwie zwierzęcem nie jest posunięty tak daleko, jak u kretów! Tylko rysunek mógłby uzmysłowić całą złożoność dróg, składających jedną całość, jedną norę i kunsztowną gmatwaninę tych, któremi otoczona jest komora główna. Co jest wprost nie do uwierzenia, to to, że znajdujemy tam studnię, lub gdy woda jest zbyt daleko cysternę, którą napełnia woda deszczowa! Jeżeli posuniemy się o stopień wyżej w szeregu ssących, nie spotkamy już nigdzie faktu, któryby posiadał podobne znaczenie. Nasuwa się mimowoli pytanie, dlaczego przemysł u zwierząt zanika i nie towarzyszy postępowi społecznemu? Co prawda u kopytowych przemysł jest niemożliwy z powodu braku stosownych organów, powtóre, zwierzęta, które nie budują, użytkują swoją inteligencję w sposób inny. Mięsożerne, rozwijają swój spryt w kierunku grabieży, zwierzęta „towarzystwie“ zakładają społeczeństwa ale przemysł u nich zanika. Organizm społeczny jest wielkiem dziełem, a rozliczne sposoby jego utrzymania, słusznie tak przykuwają do siebie uwagę badaczy, ale myślę, że owe podziemne komnaty i cudowne o złożonej, zawilej strukturze galerje są zjawiskiem, któremu również należy się szczególną uwagę i lata obserwacji poświęcać. Jest to etap w rozwoju zwierzęcym niesłychanie ciekawy.

Jak widzimy, wiele już, bardzo wiele z tajników życia otaczających nas istot jest nam znanych, ale daleko jeszcze do przeczytania całej księgi przyrody i nic nie wiemy, co kryją w sobie jej dalsze karty. Co najsmutniejsze, to to, że i z tych, odczytanych już kart, ogół ludzi nie wysnuwa żadnych wniosków, żadnych analogij. Że od świata zwierzęcego do nas jest ciągle jeszcze dalej, niż było od jaskini do chat, od chat do kolumny korynckiej. Tamtą drogę ludzkość jednak już przeszła, może przejdzie i tą!

Trzeba tylko umieć kochać otaczający nas świat, trzeba się czuć z nim złączonym, trzeba się czuć nie wyłącznym, a wspólnym synem matki ziemi, na której się wspólnie ze wszystkim innymi istotami wyrosło, z której soków wszystko co żyje, jednakowo korzysta i czerpie siły życia, i do której łona jako proch marny, zarówno człowiek, jak i wszelka inna istota, w godzinę swej śmierci, powraca!

Janina Maszewska--Knappe.





### WRESZCIE I U NAS...

Znana i ceniona działaczka na polu kinematografii, p. Ina Łabeńdz-Łabecka, długoletnia dysponentka najpoważniejszej w kraju placówki filmowej, Powszechne Towarzystwo Filmowe „Petef“, została mianowana w uznaniu zasług vice-dyrektorem firmy, na wniosek członków zarządu pp. Hrabiego Aleksandra Kolowrata i Guillaume'a Scheherlé. Wreszcie i u nas kobiety zaczynają zajmować stanowiska wybitne, monopolowane dotychczas przez mężczyznę szkoda tylko, iż zasługi Polki na terenie pracy w Polsce, uznal i ocenili w pierwszym rzędzie... cudzoziemcy: Węgier i Austriak.

R. P.

### POŚPIESZNA FABRYKA KAPELUSZY.

Żona jednego z wyższych oficerów armii angielskiej, pani Wilkinson, otworzyła w Londynie fabrykę kapeluszy, odznaczających się tem, że technika ich wykonania jest niezmiernie szybka i uproszczona. Pani Wilkinson bowiem dostarcza swoim klientkom kapeluszy na zamówienie... w przeciągu pół godziny. Gotowych kapeluszy zakład wcale nie posiada; każdej klientce wykonywa się specjalny model, i to w sposób następujący:

Dama, życząca sobie kupić kapelusz, proszona jest do specjalnego atelier, zwanego „przymierzalnią“. Tam „artystyczna kierowniczką“ zakładu — najczęściej sama pani Wilkinson — zręcznie upina jej od razu na głowie model kapelusza, kierując się zarówno życzeniami klientki, jak i swym własnym gustem i poczuciem estetyki. Jeśli model zostaje zaaprobowany, wędruje on od razu do sali, gdzie panny podręczne szybko wykończają go wedle wskazówek kierowniczką, i oto po przeciągu zaledwie pół godziny klientka zadowolona, wychodzi z nowym, specjalnie dla siebie zrobionym modelem kapelusza z magazynu. Pomysłowość pani Wilkinso jest tak wielka, że nie sprzedała jeszcze ona podobno dwóch identycznych kapeluszy każdy z nich ma odrębne wykończenie i właściwe sobie „cachet“. Toteż magazyn pani Wilkinson cieszy się wielkimi względami elegantek londyńskiego high-life'u.

### KOBIETY HINDUSKIE W PRZEMYŚLE.

Pisma angielskie podają szczegóły raportu, złożonego rządowi przez Lady Chatterjee, kontrolerkę generalną pracy kobiet i nieletnich w przemyśle fabrycznym w Indjach. Raport ten zawiera, jak podkreśla prasa, wiele wiadomości niepokojących. Ze słów jego wynika, że ilość kobiet i nieletnich, pracujących w fabrykach, zwiększyła się pięciokrotnie w ciągu lat 1892-1922. W roku 1922 ilość kobiet, pracujących w przemyśle węglowym (przeważnie jako siły robotnicze w kopalniach), wynosiła czterdzieści tysięcy. W tychże samych kopalniach pracowało w warunkach niezwykle ciężkich 787 dzieci hinduskich. Obecnie ustawa o pracy nieletnich, wydana przez rząd hinduski w roku 1924, zabrania używania dzieci w wieku poniżej lat 13 do pracy w kopalniach. Czyż nie są obecnie usiłowania w kierunku ograniczenia

również pracy kobiet w tej dziedzinie przemysłu. Nie jest to jednak łatwe, gdyż ograniczenia te odbiłyby się ujemnie na zatrudnieniu znacznej ilości kobiet, pracujących „przeważnie“ na utrzymanie swych rodzin (wdów, niezamężnych dziewcząt, utrzymujących starych rodziców lub młodsze rodzeństwo itp.) i przyczyniłyby się do wzmoczenia nędzy tej najbiedniejszej klasy z pośród całego proletariatu robotniczego w Indjach.

Ogromnem utrudnieniem w kontroli warunków pracy kobiet w fabrykach jest dotkliwy brak kobiet — inspektorek fabrycznych. Ilość ich jest poprostu znikoma w stosunku do zapotrzebowania. Dość powiedzieć, że takie wielkie centrum fabryczne, jak Bombay, posiada tylko jedną taką inspektorkę, w niektórych zaś okręgach przemysłowych niema ani jednej. O warunkach higienicznych, jakie panują w niektórych fabrykach, nikt, kto ich nie sprawdził na własne oczy, nie ma poprostu pojęcia — kończy swój raport Lady Chatterjee, nawołując rząd do natychmiastowego wejścia w tę sprawę i wdrożenia wszelkich usiłowań celem polepszenia sytuacji.

### KLUB „101“.

W Paryżu powstał klub kobiecy artystyczno-literacki pod nazwą „Klub 101“. Celem jego jest wydawnictwo wartościowych utworów literackich, w szczególności pióra kobiecego. Przewodniczącą klubu jest była księżna grecka, urodzona księżniczka Bonaparte. W skład klubu wchodzi wiele wybitnych autorek, zarówno Francuzek, jak i cudzoziemek.

### NOWY ZAWÓD DLA KOBIET W JAPONJI.

Władze magistrackie japońskiego miasta Osaka wpadły na pomysł zorganizowania oddziału kobiecego „Stróżów pożarniczych“. Członkinie tego oddziału, uzbrojone w długie, sękaty kije bambusowe i wyposażone w małą latarkę z przezroczystego papieru, obchodzą w nocy ulice miasta, wypatrując pilnie, czy nie widać nigdzie pożaru. W razie zauważenia ognia zawiadamiają natychmiast straż pożarną. W ten sposób, dzięki czujności niewieściego oddziału, udało się radzie miejskiej powstrzymać epidemję pożarów, szerzącą się z niezwykłą gwałtownością w tem mieście i zapobiec dotkliwym stratom mienia i życia mieszkańców.

### KRÓLEWNA ANNAMU NA UNIWERSYTECIE.

Córka byłego króla Annamu wykazuje podobno dużą postępowość przekonań i dążenie do samodzielności. Zdała ona przed rokiem egzamin dojrzałości w jednym z kobiecych liceów w Paryżu, obecnie zaś zapisała się w charakterze studentki zwyczajnej do wyższej szkoły agronomicznej, twierdząc, iż pragnieniem jej jest ukończyć studia rolnicze i prowadzić samodzielnie gospodarstwo w swych dobrach annamickich.

### KOBIETY A WYRÓB GOBELINÓW.

„Le Droit des Femmes“ podaje wiadomość o jeszcze jednym zwycięstwie kobiet francuskich na polu



przemysłu. Słynne fabryki pod firmą „Gobelin“ wzbrały się dotąd uparcie przed dopuszczeniem do swego personelu kobiet. Tradycja bowiem wymagała dotąd, aby w tych warsztatach pracowali jedynie mężczyźni. Pierwszy wyłom w tym na niczem nieopartym przesądzie uczyniła rysownicza, panna Etevenon, przyjęta do fabryki na skutek usilnych swych starań, bardziej jednak jeszcze dzięki temu, że okazała się najzdolniejszą z pośród zatrudnionego w warsztatach tych personelu rysowniczego. W ślad za nią zarząd fabryki przyjął w ostatnich dniach do liczby swych pracowników pannę Loyer, obsolwentkę szkoły rysowniczej, która liczy dopiero lat siedemnaście.

### NIEBEZPIECZNA PIĘKNOŚĆ.

Artystka kinowa, Miss Betty Blythe, znana ze swej wyjątkowej urody, miała niedawno sprawę w sądzie ze swoim impresario, Mr. Samuelsonem. Przed rozpoczęciem sprawy przewodniczący zwrócił się do wszystkich członków sądu z wezwaniem, aby nie zwracali uwagi na piękność oskarżonej, lecz starali się kierować jedynie poczuciem sprawiedliwości. „Starajcie się — prosił — wyobrazić sobie, że macie przed sobą istotę starą, brzydką i nie pociągającą niczem“. Apel do wyobraźni sędziów okazał się jednak zawodnym, wszyscy bowiem jednogłośnie wydali wyrok uniewinniający.

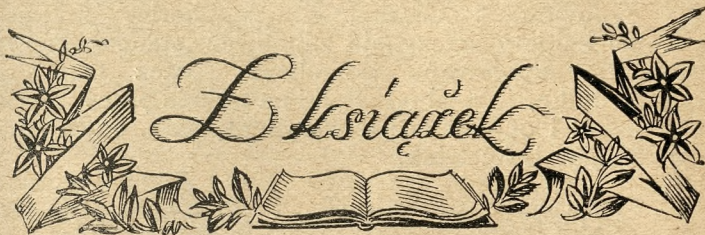
### BOHATERSKA DZIEWCZYŃKA.

Słynna latarnia morska na przylądku Św. Heleny o mało nie została niezapalona podczas ostatniej wielkiej burzy morskiej. Latarnik i jego żona wyruszyli bowiem po zapasy żywnościowe do najbliższego miasteczka — podczas gdy byli na lądzie, rozszalała się burza i nie pozwoliła im powrócić do swego domu. W latarni pozostała tylko czternastoletnia córeczka ich, która z najwyższym niepokojem, widząc zbliżającą się burzę, oczekiwała powrotu rodziców. Gdy rozhukane fale bić poczęły coraz silniej o brzegi, a ciemność zapadała coraz większa — biedne dziecko ze łzami w oczach modlić się poczęło za dusze rodziców, w przekonaniu, że łódka, którą powracali do domu, ulec musiała rozbiciu. „Zrozumiałam — opowiadała później dziewczynka — że jestem sama na świecie i że teraz, dopóki nie przybędzie ktoś, aby mnie zastąpić, do mnie będzie należało spełnianie obowiązków latarnika. Bałam się okropnie burzy, grzmotów i błyskawic, a jeszcze bardziej bałam się iść na górę wśród ciemności i wichru tak silnego, że ledwie mogłam się na nogach utrzymać. Nigdy w taką pogodę nie chodziłam sama na górę... Wiedziałam jednak, że już dawno nadszedł czas zapalenia latarni. Poszłam więc ostrożnie, trzymając się ze wszystkich sił, aby nie upaść. Wiatr jęczał przeraźliwie w ciemności — zdawało mi się wtedy, że to umarli wśród fal tak jęczą i proszą o pomoc. Starłam się nie myśleć o umarłych tylko o żywych, którym światło latarni było potrzebne dla uniknięcia śmierci podczas tej strasznej burzy. Gdy udało mi się w końcu zapalić latarnię, pomyślałam sobie, że „ojciec i mój cieszyłby się, widząc mnie zastępującą go w spełnianiu jego obowiązku!“.

Burza szalała trzy dni — i przez całe te trzy dni bohaterskie dziecko wytrzymało na posterunku, mimo głodu (zapasy żywności starczyły jej zaledwie na jeden dzień), osłabienia i niepokoju. Co wieczór mała latarniczka zapalała zbawcze światło, „prosząc Boga — jak wyznaje — aby już ludzie czempredziej przybyli wyzwolić ją od tego obowiązku“. Na czwarte rano burza zaczęła ucichać — i jakąż była radość dziewczynki, gdy około południa przybiła do brzegu łódka, wioząca jej rodziców żywych i zdrowych!

Wszystkie wsie okoliczne błogosławiły małą latarniczkę, która swem poczuciem obowiązku ocaliła niejedno życie rybackie, podczas strasznej burzy, a mer powiatu przedstawił ją do nagrody „za bohaterstwo i poświęcenie“.

Z. B.



J. K. Młakowicz: „Obrazy imion wróżebne“. Warszawa. F. Hoesick. 1926.

W Młakowiczównie zadziwia mnie zawsze, oprócz tak wielkiej swoistości i niepodobności do nikogo, ta ogromną skalą, którą poetka rozporządza. Dziwna rzecz, jak to mało kto zauważa. A przecież ta coraz to świetniejsza pisarka równie dobrze czuje się w świecie podludzkim, w świecie żywołaków i dziwadł, jak w świecie nadludzkim, w obszarach duchów i aniołów. Zaś niezrównane „Rymy dziecięce“ i niektóre ze „Śmierci Feniksa“ świadczą, że równie w swoim żywiole jest, gdy chodzi o sferę pośrednią między tamtymi dwiema, o sferę ludzkiej rzeczywistości. I co mnie jeszcze korci, to to, że ani jednej pieśni ze swej obszernej skali poetka nie wyzyskuje do końca. Dotyka tylko strun z tem zadziwiającem od niechcienia, które stanowi cechę jej rymu, rytmu i stylu. Dotyka od niechcienia i nieomylnie. W obszernej skali znalazło się ostatnio miejsce na emocjonującą zabawkę, na „cykl imion wróżebnych“. Jest to prawdziwy „sennik egipski imion“, który napewno będzie miał powodzenie, gdyż odpowiada bardzo w nas silnej i powiedzmy metafizycznej żądzy dociekania ukrytego istotnego znaczenia we wszystkim, co daje się postrzegać na tym świecie. Nie są to charakterystyki postaci, noszących dane imiona, ale skradające się zniemacka podejścia do samych imion od strony mówiących się w naszej podświadomości skrawków legend, wspomnień, zdarzeń, powiedzeń, barw, dźwięków, woni, z danem imieniem związanych i zestawiających się tam w irracjonalny i wróżebny wizerunek Marty i Jana, Teresy, Henryka, Jadwigi, Karola. Wprawdzie cały ten pomysł nie zawiera idei pracy ni zbiorowości, ale odpowiada naszej potrzebie doznawania poezji, w której oby nareszcie było miejsce na wszystko. I z której obcy my nauczyli się czerpać bodźce do intensywniejszego życia we wszystkich dziedzinach: w pracy, w zabawie, w radości, w smutku, w gromadzie i w samotności, w powadze i w swawoli.

Pierwiastek poezji, esencja artystyczna, nie przerywa się nigdy, znajduje się wszędzie a wszędzie. Raz nawołują nas, żebyśmy ją wydobywali z tego, a kiedy indziej, żeby z owego. Ale naprawdę trzeba ją wydobywać zewsząd, ażeby ustokrotnie wartość całego życia i nie zostawić ani najmniejszej okruszynki z bytu bez zadokumentowania, jak dźwięczy ona w poezji.

To też dobrze jest, że dzięki czarującemu żartowi Młakowiczówny wiemy teraz, jak dźwięczy u niej chwila, gdy na podwórzu zjawi się „cud kolorowy i dźwięczący! Katarynka i na katarynce papuga, co“ krzywym dziobem wyszarpuje kartkę, białego, różowego, żółtego motyla, los dla jednego z ciżby, spotkanie, miłość, grzech, kłótnię i radość, i budząc wszystkie pragnienia — żadnemu nie czyni zadość...

Marja Dąbrowską





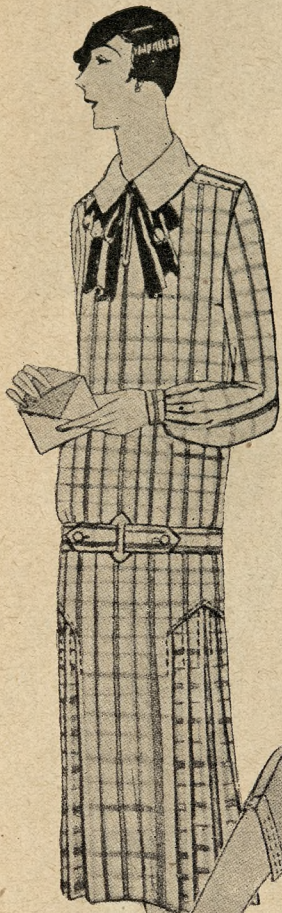
# MODY I ROBOTY











835.



836.



838.



839.



840.



841.





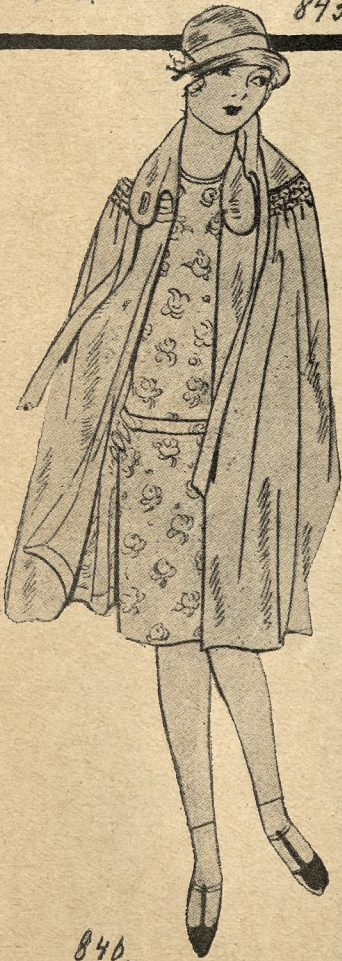


842.

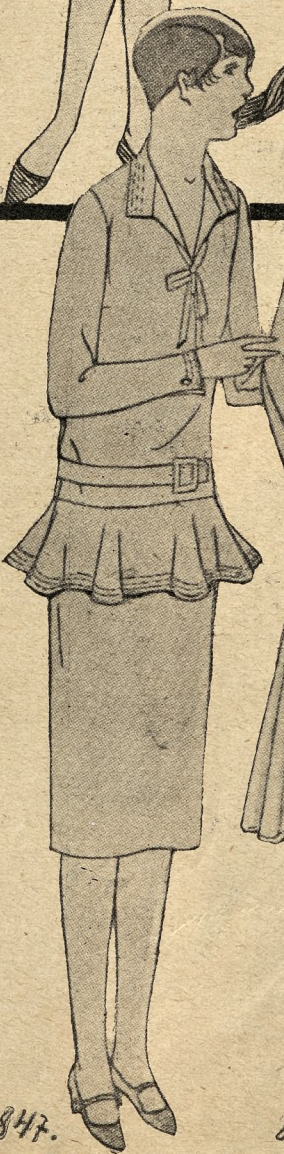
843.

844.

845.



840.



847.



848.

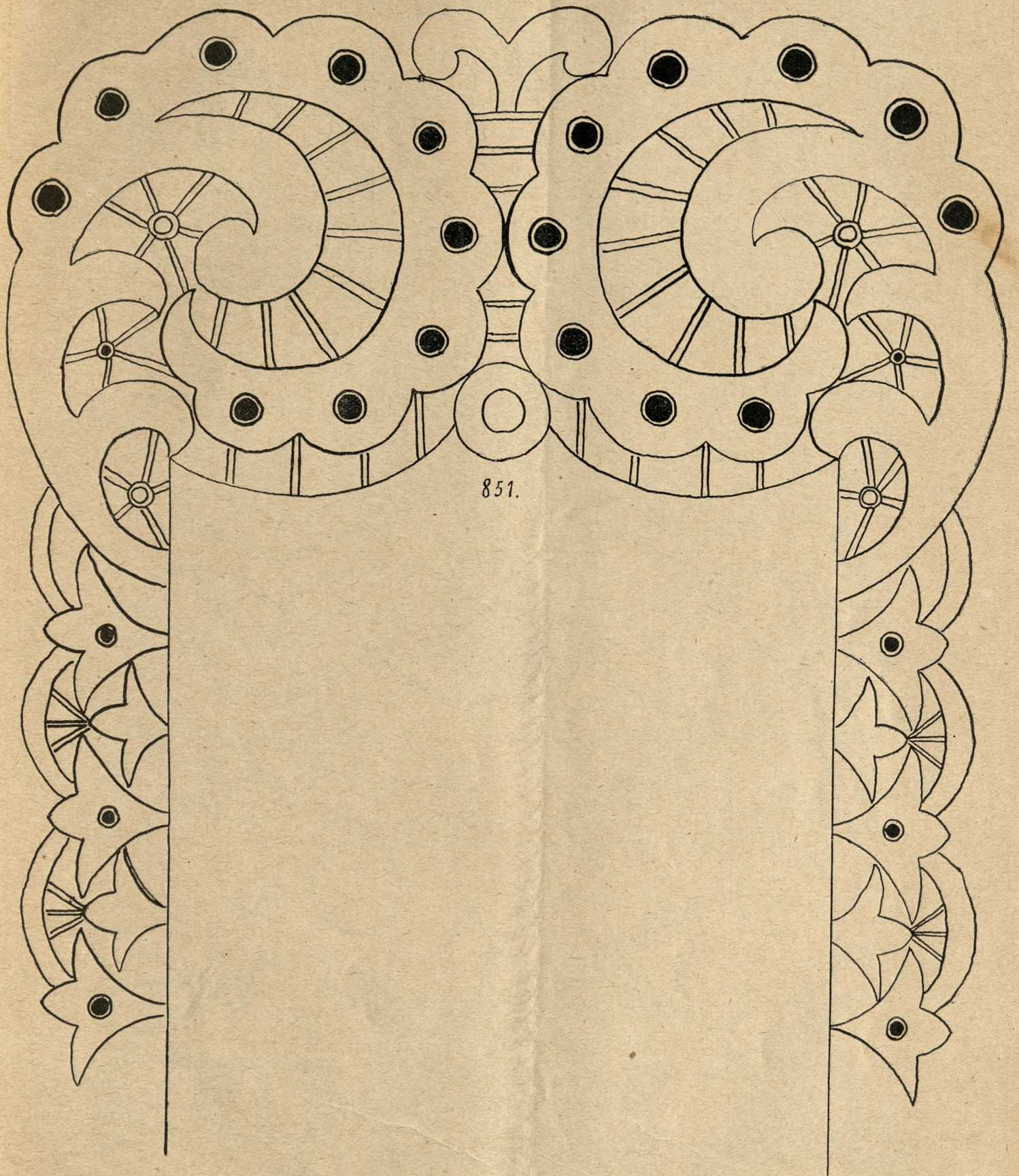


849.



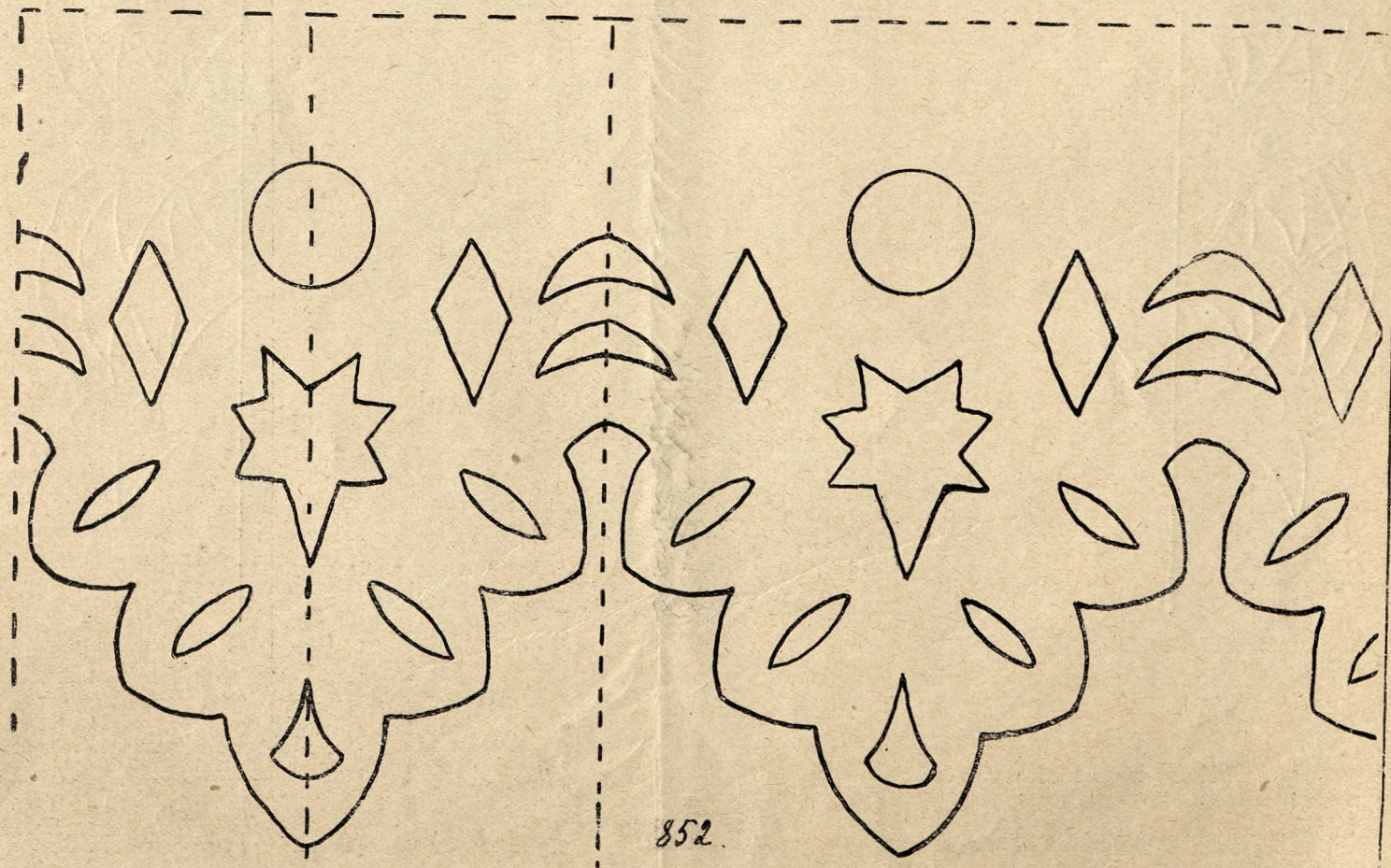
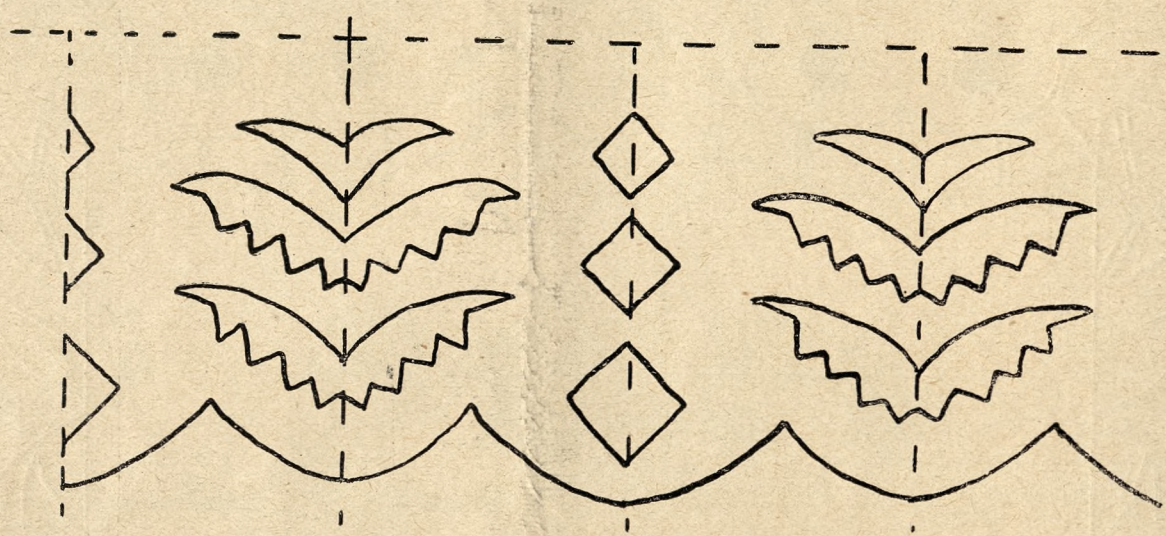
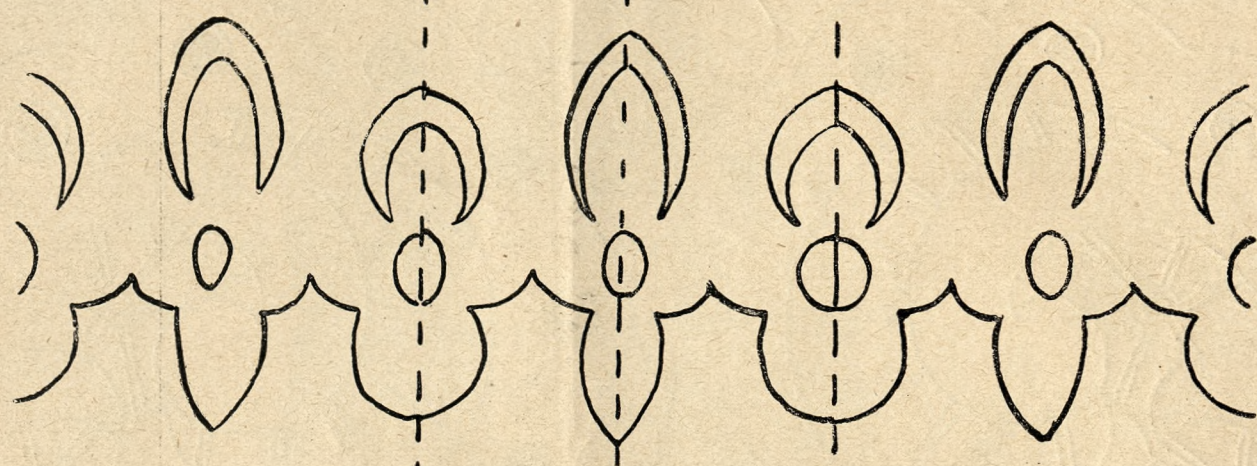
850.





*Wzór na laufer haft richelieu.*







## SZYDEŁKOWA KOMBINACJA

Model wykonany jest z włóczki gątku niekurczącego się, pietnastu milimetrowej grubości szydełkiem. Kombinacja lekka a ciepła zrobiona w kolorach białym i koralowym, ścięciem prędkim i prostym. Zaczynamy robotę od dołu spódniczki. Zrobić 148 oczek powietrznych i trzy na zakręcenie. Przeciągnąć nitkę raz przez 4 pow. oczka, drugi raz przez piąte, założyć nitkę na szydełko i przeciągnąć ją przez te dwa oczka (rys. Nr. 3). Znow nawinąć nitkę, przeciągnąć ją przez pozostałe dwa oczka na szydełku, w końcu zrobić 1 oczko na powietrzu, co razem nazwiemy ścięciem potrójnym. 2 ściąg: wyciągnąć jedno oczko, następnie drugie, klucz w każde z następnych oczek, założyć nitkę na szydełko, przeciągnąć ją przez te dwa oczka, znow założyć, przeciągnąć przez pozostałe na szydełku oczka. W końcu zrobić jedno powietrzne oczko. Następne ścięgi robić jak drugi, co uczyni 74 podwójne ścięgi czyli 1 m. 10 cm. plus minus szerokości. 2 rząd: na zakręcie zrobić 3 oczka, zahaczyć, wyciągnąć jedno oczko, znow wyciągnąć oczka, nawinąć nitką, przeciągnąć przez 2 oczka, znow nawinąć, przeciągnąć przez pozostałe 2 oczka, zrobić jedno powietrzne oczko i tak powtarzać ten ściąg, robiąc wszystkie rzędy podług ścięgu rys. 2.

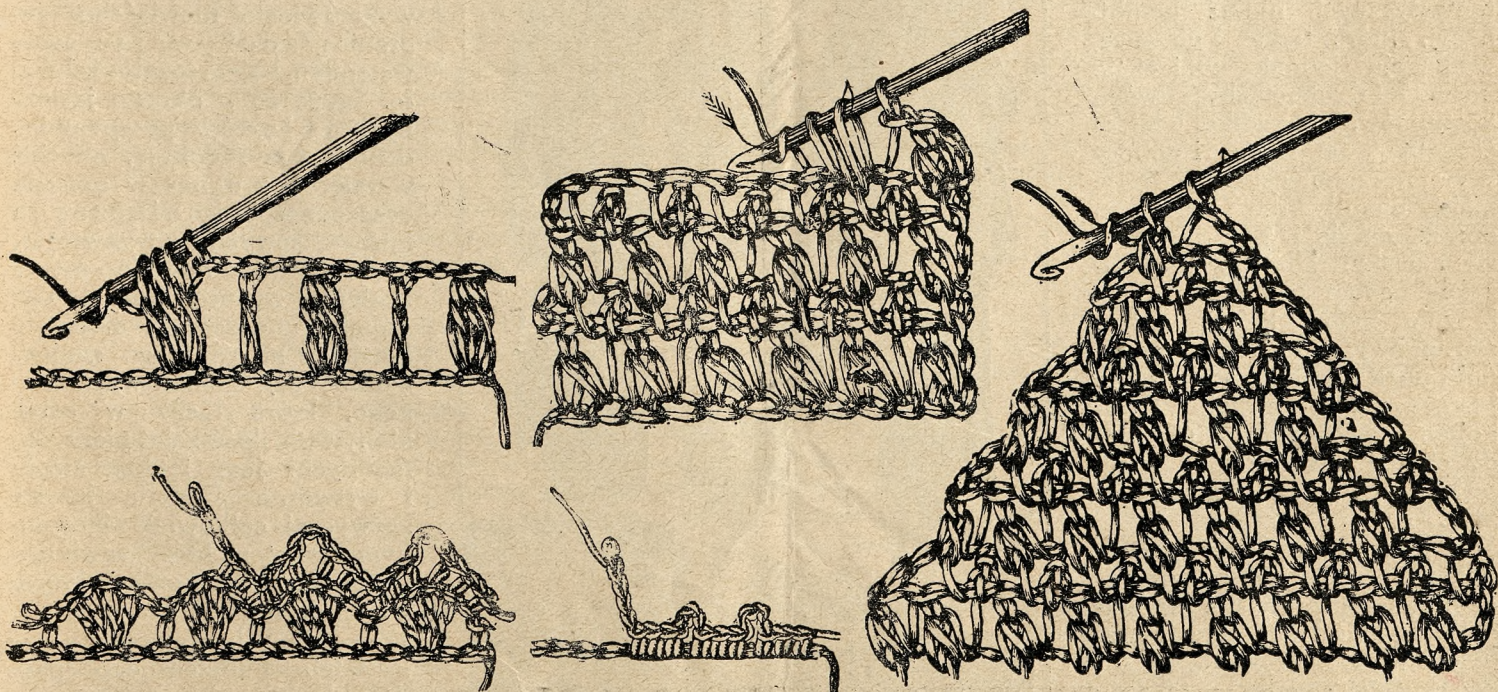
Zrobić tak 110 rzędów, po których spódniczka powinna mieć 55 cen. wysokości czyli jest skończona.



Staniczek zaczyna się również od dołu.

Zrobić 108 oczek powietrznych, trzy oczka na zakręcenie. Zrobić takich samych ściągów, jak wyżej, 54, które powinny mieć 80 cm. szerokości składającej się z 28 rzędów. Dochodzimy do pach na wysokości 14 cent. W 20 rzędzie zaczynamy robić tylko połowę staniczka, to jest na pierwszych 27 oczkach. Zacząć gubić po jednym oczku z brzegu, tak, aby w drugim rzędzie pozostało 25 oczek, następnie zrobić jeszcze 6 rzędów, ujmując na początku każdego rzędu. W 35 rzędzie będziemy mieli już tylko 10 oczek. Aby zgubić oczko trzeba po zgubieniu 3 pow. oczek i zakręceniu roboty, opuścić jedno oczko poprzedniego rzędu, następnie robić tylko na 9 oczkach poprzednich 19. Zrobić jeszcze 8 rzędów, ujmując o jedno oczko na końcu i na początku rzędu. Ośmy rząd skończyć się powinien jednym ścięciem.

Wtedy przerwać robotę i urwać nitkę. Pierwsze ramiączko skończone na 43 rzędach wysokości 21 cen. Robić dalej na 9 rzędach następnych, zostawiając 10-te oczko w środku wolne. To samo zrobić z tyłu. Zszyć stanik i spódniczkę i połączyć ze sobą. Zszyć spódnicy ze stanikiem przykryć wstążką i obrobić dół spódniczki, pachy i górę stanika koroneczką z jedwabiu rys. N. 3. Szelki u staniczka zrobić ze wstążki. Na całą kombinację potrzeba 350 gr. wełny.





## KOSTJUMY



W życiu kobiety, każda z pór roku ma swój symbol — który ma swój wyraz w lekkim ciepłym połyskliwym puchu futer w zimie, pączku wonnym fiołków w klapę okrycia wpiętych wiosną, barwnej parasolce ocieniającej powiewną tualetę w skwarnych miesiącach lata, a kostjumie tak zwanym „tailleur“ w dniach pierwszych chłódów jesiennych. Zatem stojąc u progu jesiennego sezonu kostjumowi temu słów kilka poświęcić należy, tem więcej, że w asyście chwilowo zapomnianej bluzki, powraca na widownię mody, ku uciechu wielu wiernych zwolenniczek, która nie rozstawały się z nią ani na chwilę.

Kostjum tegoroczny jest z lekką fantazyjny. Dozwala na łączenie odmiennych spódniczek drobnąznaczonych krateczką, lub rysowanych w podłużne pasy z gładkimi zakieciakami, które w jednym tonie utrzymane są zazwyczaj koloru ciemnego. Utrzymuje się ciągle moda faworyzująca cieniowanie jednej barwy, która przechodząc stopniowo od najciemniejszego do jasnego tonu,

składa się na kratki, pasy, czy futyrystyczne desenie.

Krój zakiecika zazwyczaj prosty. Zakiecik krótki obowiązkowo kieszeniami zdobny i najczęściej paskiem spięty, o typie sportowym, wykluczającym, jak dotąd, dawny kostjum strojny, który drzemie w pyle przeszłości na przeczytanych i zapomnianych stronicach mody przedwojennej.

Jak zwykle, każdej powracającej, lub pojawiającej się kreacji, poświęcają ci co o przykazaniach mody wyrokują, kostjumowi wiele starań i zachodu, stwarzając wiele fantastycznych nieraz kombinacji, które ładne i ciekawe, wymagają jednak koniecznie posiadania chociażby dwóch kostjumów, bo wszelkie z lekka ekscentryczne fasony i doборы barw noszone często i stale mają niemiły dar prędkiego opatrzenia się i tracą na swoim uroku. Dlatego też pozwól sobie na nie może jedynie osoba, której budżet rozciągliwy, a zasobny przewiduje poza tym najmodniejszym jeszcze jeden neutralny, spokojny, a zawsze elegancki kiedy chodzi o wyjście na ulicę, podróż, lub nawet dzienną wizytę.

Zamiłowanie łączenia odmiennych spódniczek z odmiennymi zakieciakami, nie wyklucza noszenia kostjumów jednokolorowych. Spotyka się już coraz częściej zawsze wykwinny

kolor granatowy, faworyzowany także tam, gdzie chodzi o modele sukien i płaszczy. W rzędzie fantazyjnych połączeń i modeli, na pierwszy plan wysuwa się śliczna kombinacja złożona z czarnej spódniczki wykonanej z tak zwanej „drapelli“ i ciemno zielonego aksamitu zakiecika w formie prostej kurtki, w szwie wyciętej i z boku na dwa duże guzy spiętej, takie same guziki zdobią zakiecik z prawego boku, formując ładną linię szerokiego przodu. Spódniczka, wyzbywając się dosyć obnoszonych fałd jest z przodu suto namarszczona, a zakiecik zdobny małym crêpe de chine'owym kołnierzykiem zaledwie z przodu widocznym i takimiz mankietami. Pończoszki ciemno popielate, pantofelki zamszowe w kolorze pończoszek utrzymane, mały skromny, głęboko na główkę wciśnięty czarny kapelusik nadaje całości cechę wykwinu i spokojnej elegancji. Razem z wracającym w sezonie jesiennym na pierwszy plan kostjumem upomina się też gorąco o swoje prawa bluzka, która już w lecie zapowiadała powrót i panowanie.

Najwykwintniejszą zawsze i niezmiennie będzie bluzeczka biała z crêpe de chine'u, lub georgette'y, ubierana pletnią jedwabną, lśniącą, i ściśle w odcieniu bluzki utrzymana, lub też dyskretne, a wypracowane mi mereżkami zdobna, co łączy się do tak zwanych ostatnich krzyków“ mody.

Mówiąc już kiedyś o letnich bluzkach notowałam po bieżnie historję nowości, jaka narobiła dużo hałasu w sportowym świecie niewieścim zagranicą, z dobywając sobie wstępnym bojem rozgłos i chwałę. Sądzę że w okresie jesiennych chłódów przypomnieć o niej będzie dobrze, chociaż wątpię, aby u nas w czasach oszczędności koniecznych i przymusowych ta wykwinna, a kosztowna nowość mogła znaleźć zastosowanie. Tak szumnie anonsowany model to bluzka z mięciutkiego zamszu nadzwyczaj cienko wyprawionego, która łączy w sobie niebawą ilość zalet pierwszorzędnych: jest lekka, ciepła i wytworna. Podbija ją się zazwyczaj całkowicie jedwabnym trykotem który wywinęty zdobi równocześnie kołnierzyk i mankietiki długich obowiązkowo, długich rękawów i w kształcie poprzecznego pasa dół bluzki ujmuje. Pierwszy





model wykonano ze skóry gładkiej, ale fantazja ludzka wiecznie głodna i nowości pożądana, wycina teraz skórę w misterne koronkowe desenie, przez które połyskliwy jedwab trykotu efektownie prześwieca jaśniejszą lub odmienną, ale harmonijnie dobraną barwą.

Modnym kapelusikiem który nosić będziemy w zestawieniu z kostjumem będzie nadal kapelusik pilśniowy ożywiony zabawnym zestawieniem barw, które już w Paryżu za najmodniejsze uznano. I tak np. kapelusik beige, otoczony wstążką koloru śliwkowego, biały zieloną, czarny błękitną, czy szafirową, co tworzy kontrast niemniej jednak miły dla oka.

Jest to pomysł zupełnie nowy, który ożywia jednobarwną całość wesołą nutą. W dziedzinie woreczków damskich zatracą się coraz bardziej portfel dotąd tak bardzo noszony.

Dzisiejszy woreczek, to czworokątna torebka, ze skóry zamszowej, lub krokodylej.

Najelegantsze i najmodniejsze są torebki czarne zamszowe z płaskim dużym fermoiem z jasnego szyldkretu, lub także koloru płowego w zestawieniu z ciemnym szyldkretem.



Obuwie wykazuje tendencję do coraz większej prostoty. Najmodniejsze są dzisiaj gładkie zamszowe pantofelki bez żadnych ozdób, klamr, inkrustacji, przyczem najważniejszą rzeczą jest dobór pończoszki, która winna być identycznego co i pantofelek koloru, lub conajmniej o jeden cień jaśniejsza.

Jako najmocniejsza butonierka w klapę płaszcza, lub kostjumowi spacerowego wpięta uznane są kwiaty ze skóry wykonane, a w wyszukanych z spokojnych tonach utrzymane. Wpadają one niejednokrotnie w śliczny odcień kości słoniowej, lub błyszczą złotem albo srebrem.

Do tualet wizytowych i wieczorowych przypina się kwiaty z jedwabnego muślinu wykonane, o kształtach fantastycznych i niecodziennych.

Jest to kwiat „fleur de Chanel” zwany, a w kolorze sukni utrzymany przesłicznie zlewa się z całością i podnosi efekt ubrania.

Tak bardzo modne kołnierze futrzane lisy, nosi się nieodwołalnie i jedynie, przez jedno ramię trochę ukośnie zarzucone, jak to wskazuje jeden z rysunków, dawne sposoby noszenia futra, należą dzisiaj do najjaskrawszych odchyłeń od nowiej, a modnej sylwetki. W. D.

## KAPELUSZE

Od szeregu lat Paryż „dochojuje” podziwu godnej wierności filcom, co prawda, to paryski feutre jest czemś tak odmiennym od sprzedawanych u nas niekształtnych i ordynarnych filców, że trudno wprost stosować do nich tę samą nazwę. Miękki, jedwabisty, doskonały w kształcie i kolorze, wygięty w ten nieuchwytny, niedający się naśladować sposób, który stanowi o szyku i twarzowości kapelusza. Na pierwsze wejście wszystkie feutre zdają się być do siebie bliźniaczko podobne, w rzeczywistości, niepodobna znaleźć dwóch identycznych.

Feutre stanowi eleganckie dopełnienie angielskiego podróżnego płaszcza, spacerowego tailor mode, sportowej sukienki z jumper'em jak i strojnej sukni którą się nosi a l'heure du thé. Dopiero późnym wieczorem składa broń przed lśniącym kaskiem z lamy i rajerów, albo olśniewającym djademem z pereł i strass'ów. Przybranie feutre u stanowi, zbyt szeroka wstążka grosgrain, dobrana w tonie, i szpilka. Moda sztucznych pereł oczywiście znajduje i tutaj jaknajszersze zastosowanie, wielką konkurencję robią perłom duże szpilki szklane w przeróżnych odcieniach.

Ponieważ nasze filce jak już zaznaczyłam wyżej nie umyły się do paryskich feutre'ów, i że przytem Zuzia z kuchni i Mania z piekarni zrobiły wszystko co było w ich mocy, by nam filce ostatecznie

obrzydzić, że sezon słomy minął niepowrotnie, zwracamy chętnie oczy, w stronę ślicznych aksamitnych kapeluszy. Tu nęca oko przede wszystkim, malownicze, cieniste klosze, o dużych, lekko wygiętych rondach. Miękkie, beretowate główki zadrapowane fantazyjnie, spięte szpilką lub agrafką, oczywiście również zdobne wielką perłą lub główką ze szkła. Dla konserwatywnych zwolenniczek małego kapelusza, są fasoniki małe, wdzięcznie z jednego boku odgięte.

Prym trzyma aksamit czarny, dystygowany, twarzowy, harmonizujący z każdą toaletą, odpowiedni, jak dla podlotka, tak i dla jego babuni. Potem cała gama jesiennych, złotorudych, brązowych odcieni, niezmiernie modny bois de rose, mieniący się przesłicznie w załamach draperji jedwabnego velour chifon. Ponieważ modne są główki układane i drapowane, należy unikać brania na kapelusze tanich aksamitów i velwetów, które w draperji układają się sztywno i wyglądają bardzo ordynarnie.

W przeciwieństwie do kapeluszy letnich nieraz bardzo skomplikowanych, niemal przeładowanych ozdobami, moda jesienna jest niezmiernie prosta i harmonijna. Umiejętnie ułożona draperja i duża błyszcząca szpilka — oto całe przybranie strojnego jesiennego kapelusza. Czasami stosuje się stebnówkę jedwabiem na aksamicie dookoła runda, albo w kratę, daje to





nieraz bardzo szczęśliwe dyskretne efekty. Zamilo-  
wanie do ensemble'ów każe w dalszym ciągu dobiera-  
ć kapelusze do koloru tualety. Wyjątek stanowi  
oczywiście kapelusz czarny, nadający się do wszyst-  
kiego. Czasem znowu na tle ciemnej tualety jasny,  
kolorowy kapelusz stanowi bardzo szczęśliwą plamę  
malowniczą. O tem musi decydować dobry smak oso-  
bisty i znajomość swego typu. Naogół ciemny aksa-

mit uwydatnia szczęśliwie złote lub kasztanowate loki  
i świeżą cerę blondynek. Panie o włosach ciemnych  
i śniadej cerze powinny dobierać kapelusze o bar-  
wach ciepłych i żywych. Jest pewien odcień nie-  
bieskich oczu, do którego daje się dobrać prześliczny  
szaroniebieski kolor aksamitny. Modny i szlachetny  
odcień gris perle w aksamicie wygląda nieraz brudno,  
dlatego radziłabym go unikać. W.I.

## POLSKA WSPÓŁCZESNA

### XII.

#### STOSUNKI WYZNANIOWE

Statystyka wyznaniowa jest oparta, tak jak sta-  
tystyka narodowościowa, na indywidualnych zeznaniach  
spisywanych. Jednak, z powodu bardziej ugruntowa-  
nego wśród mas poglądu na odrębności religijne, niż  
na odrębności naro-  
dowe, ilość osób, po-  
dających inną religię  
wyznaniową, niż ta,  
do której oficjalnie  
są zapisani, jest ni-  
kła, a statystyka, wy-  
znaniowa jest jeszcze  
ściślejsza od staty-  
styki narodowej.  
W Rzeczypospolitej  
Polskiej przeważa  
wyznanie rzymsko-  
katolickie. Rzym-  
skich katolików było  
63,8%. Pozostałe 36%  
stanowi ludność in-  
nych wyznań, a prze-  
dewszystkiem greko-  
katolicy, prawosławni,  
możeszowi i  
ewangelicy.

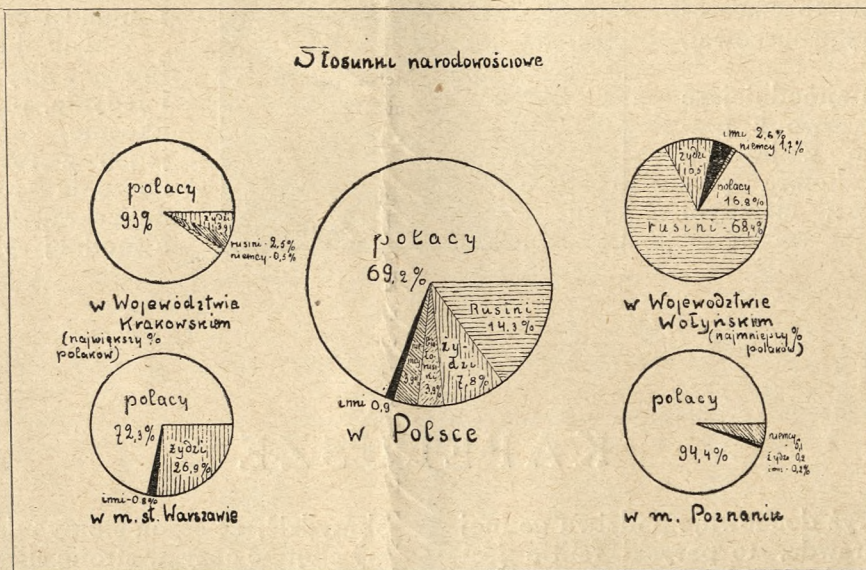
Katolicy, po-  
dobnie jak polacy, posiadają większość przeważa-  
jącą, ponad 75% w 8 województwach. Najwięcej  
katolików liczy województwo krakowskie bo 89,3%.  
Większość absolutną, powyżej 50%, lecz mniej  
niż 7 posiadają katolicy w dalszych 53 wojewódz-  
twach. Z nich w m. stoł. Warszawie liczą  
63,8%, w województwie białostockim 68,6% i w wo-  
jewództwie wileńskim 61,2%. W województwie lwow-  
skim reprezentują rzymscy katolicy większość wzglę-  
dną, 46,5% wobec 41,4% greko-katolików. W wo-  
jewództwach nowogrodzkim i tarnopolskim rzymscy  
katolicy liczą poważną mniejszość, powyżej 25%.  
W województwie stanisławowskim, wołyńskim i po-  
leskim katolicy są w mniejszości. Najmniej rzym-  
skich katolików znajdujemy w województwie poles-  
kiem, bo tylko 7,8%. Religję rzymsko-katolicką wy-  
znają przeważnie polacy, a obok nich litwini i czę-  
ściowo Niemcy. Spotyka się także katolików narodo-  
wości białoruskiej, a także bardzo nieznaczną liczbę  
katolików narodowości żydowskiej.

Drugie co do liczebności wyznanie, stanowią  
w Rzeczypospolitej Polskiej greko-katolicy. Greko-  
katolików jest w całym Państwie 11,2% ludności.  
Najwięcej greko-katolików zamieszkuje w wojewódz-  
twie stanisławowskim, bo 73,9%. Ponadto mają gre-

ko-katolicy większość w województwie tarnopolskim  
(59,4), a poważną mniejszość reprezentują w wo-  
jewództwie lwowskim (41,4). Ponadto pewien odsetek  
greko-katolików liczy województwo krakowskie i wo-  
jewództwo lubelskie. Religję greko - kato-  
licką wyznają prze-  
ważnie rusini. Jest  
jednak tamże znacz-  
na liczba polaków  
wyznania greko-kato-  
lickiego.

Prawosławni li-  
czą w Rzeczypospo-  
litej Polskiej 10,5%.  
Prawosławie wyznają  
rusini, białorusini,  
„tutejsi“ na Polesiu  
i rosjanie. Istnieje  
także znaczny odsetek  
prawosławnych  
polaków i pewna  
ilość prawosławnych  
czechów i niemców  
(na Wołyniu). Prawo-  
sławni stanowią więk-  
szość ludności w wo-  
jewództwach, poleskim, gdzie liczą 79,2%, wołyńskim  
(74,2%) i w nowogrodzkim (51,1%). Poważną mniej-  
szość, przerastającą 25%, stanowią prawosławni w wo-  
jewództwie wileńskim gdzie liczą 26,9%. Ponadto znaj-  
dujemy prawosławnych w województwie białostockim,  
w ilości 15,1%, w lubelskim w ilości 7,3% i w m.  
Warszawie w ilości 0,6%. Inne województwa posia-  
dają odsetek prawosławnych nie przewyższający 0,2%.

Mojeszowi liczą w całym Państwie 10,5% za-  
ludnienia. Mojeszowi, podobnie jak żydzi, którzy  
stanowią większość wyznawców mozaizmu, zamiesz-  
kują przeważnie w miastach. Istnieją w Polsce mia-  
sta, w których procent ludności wyznającej mozaizm  
dosięga 99%. W mieście stoł. Warszawie mozaizm  
wyznaje 33,1% ludności, w innych wielkich miastach  
procent ten jest jeszcze większy. Wyjątek stanowią  
miasta b. dzielnicy pruskiej, gdzie procent mojeszo-  
wych jest nieznaczny. (W Poznaniu 1,2%). Z po-  
śród poszczególnych województw najwięcej ludności  
mojeszowej liczy województwo białostockie (14,8%)  
i województwo łódzkie (14,5%). Najmniej mojeszo-  
wych liczą województwa poznańskie (0,5%) i pomor-  
skie (0,3%) i śląskie (2%). Oprócz żydów, mozaizm  
wyznaje znaczna liczba osób, które podały narodowość  
polską i niewielu rosjan i rusinów. W poznańskim





zamieszkuje pewna ilość Niemców, wyznania mojżeszowego. Ewangelicy stanowią w całej Polsce 3,7% ludności. Ewangelicy rozproszeni po całym obszarze Państwa i w żadnym z województw nie stanowią większości. Najwięcej ewangelików zamieszkuje w województwie pomorskim, bo 19,9%. W poznańskim zamieszkuje 16,4% ewangelików, w województwie śląskim 8,9% i województwie łuckim 7,7%. W m. st. Warszawie jest 1,9% ewangelików, w województwie warszawskim 4,2% i w wołyńskim 2,7%. W pozostałych województwach ewangelicy nie przekraczają

1% ludności. Religiję ewangelicką (ewangelicko-augsburską, ewangelicko-reformowaną, kalwińską i t. d.) wyznają częściowo Niemcy, a częściowo Polacy. Jest także pewna liczba ewangelików Czechów i ewangelików litwinów.

Oprócz opisanych wyznań spis ludności wykazał na ziemiach Polski b. wiele wyznań mniej licznie reprezentowanych. Z pośród nich najwięcej było staroobrzedowców, marjawitów i mahometan. Ludności bezwyznaniowej było bardzo niewiele, gdyż zaledwie kilkaset osób na całą Polskę.



## WNĘTRZA MIESZKAŃ Z EPOKI BIEDERMEIERA

Kult sztywności i ubóstwa. Supremacja tapicera. Serwantka. Meble pseudogotyckie. Zegar stołowy ostoją romantyzmu. Serce w filizance. Brak komfortu w mieszkaniach, ciemność na ulicach.

Jest rzeczą nad wszelki wyraz niebezpieczną i śliską kusić się o scharakteryzowanie ducha epoki na podstawie panującej mody w ubiorach, szczególnie, gdy chodzi o okresy przełomowe, w których każdy znajdzie to, czego szuka i dowolnie może naginać zaobserwowane zjawiska do z góry powziętych założeń.

Postać rzeczy się zmienia, gdy przechodzimy do wnętrza mieszkalnych. „Pokaż mi twój pokój, a powiem ci, kim jesteś“. To zdanie nigdy może tak dobrze nie da się zastosować, jak do czasów Biedermeiera, do pokolenia między 1830 a 1842 rokiem. Duch epoki, podnoszący niedostatek do godności cnoty, upatrujący jedyną i prawdziwą doskonałość w prostocie, doprowadził chłodną nagość konającego empire'u do krańcowej oschłości. Puste pokoje, papierowe obicia ze skąpymi deseniami, szczupła ilość mebli, których gładko wypolerowana powierzchnia ułatwiała ścieranie kurzu, na nagich ścianach bopersztychy lub litografie w ramach z prostych listewek utworzyły ciemne plamy, w niczem nie ożywiającej dekoracyjnej strony urządzenia.

Jedyną jego ozdobą były kotary, układane przez tapicera w wyszukane draperje, najczęściej z kilku szali odmiennego koloru. Odtąd na całe niemal stulecie zaciężył nad dekoracją wnętrz głos tapicera, decydujący w sprawach upinania firanek, portjer i draperji.

Pod względem smaku w urządzeniu zasłynęła willa Księcia Metternicha na Renuwegu w Wiedniu i wspaniały dom aktorki Mars w Paryżu.

Styl mebli szedł mniej więcej po linii, odziedziczonej po empirze, tylko profile stawały się coraz prostrze, płaszczyzny gładziej, a bronzy coraz niklejsze. Jako materiał pierwszeństwo miał mahoń, którego piękna czerwona barwa czasem przy starannem obchodzeniu się nabierała ciemnego odcienia brunatnego o ciepłych tonach. Meble tych czasów mają w sobie coś ociężałego i zdają się swoją godną postawą reprezentować owoc troskliwych zabiegów tęgiego mieszczaństwa, które świadome jest swego stanu posiadania i umie cenić jego wartość.

Duch meblarstwa Biedermeierowskiego wypowiedział się ze szczególną wyrazistością w serwantce. Ta szafka całkowicie oszklona, z tylną ścianą zwierciadlaną, pozwalająca oku cieszyć się dowolnie widokiem cacek, pieczołowicie ochraniających przed kurzem i niepowołanymi rękami, jest odbiciem tego domowego nastroju drobnomieszczańskiego, który znakomicie godził oszczędność i zapobiegliwość z pewną dozą swoistej, małostkowej próżności domowego zbieracza i parwenjusza.

Element romantyczny wkracza w dziedzinę sprzętów w postaci motywu łabędzia, który tak często około roku 1830 ukazuje się na poręczach sof i foteli. Nawrót do średniowiecznych upodobań wyraził się jeszcze dobitniej w pseudogotyku. Polegał on nie na naśladowaniu prawdziwych mebli średniowiecza, ale na przenoszeniu motywów estrołukowej architektury na sprzęty, które tem większym cieszyły się powodzeniem, im więcej przypominały katedrę gotycką. Z tej epoki pochodzą zydle z ostrołukowym oknem zamiast oparcia, gotyckie okładki do książek i zegary stołowe wyobrażające fronton katedry.

Wspaniałym egzemplarzem tego stylu jest biurko, ofiarowane Ludwikowi I bawarskiemu przez monachijskich artystów, gmach, na którym można się uczyć wszystkich form gotyckiego budownictwa kościelnego, ale na ciężką pokutę musiał się skazać ten, kto by chciał się nim posługiwać, lub poprostu utrzymał w czystości. Był to typowy mebel architektoniczny, nie mający nic wspólnego z życiem i jego wymaganiami.

Tradycje klasyczne kontynuował Schinkel. Według jego pomysłów wykonywano nie tylko całkowite urządzenia zamków i pałaców, ale i skromniejsze wnętrza mieszczańskie, utrzymane w stylu mniej wspaniałym, niż u Percier i Onntaine'a, ale i nie tak oschłym, jak u Desmaltera i Jacob'a.

Około roku 1835 zaczęły wchodzić w życie meble żelazne, a mianowicie łóżka, krzesła, gerydony, żardinierki. Cieszyły się one wielkim powodzeniem głównie dlatego, — i to jest znamienym rysem epoki budującej się w imitacjach i surogatach, — że można je



było doskonale naśladować w drzewie. Na krótko przed r. 1840 pojawiają się francuskie meble, całkowicie kryte materją i wraz z niemi rozpoczyna się panowanie tapicera.

Jedynym sprzętem, w którym artyzm mógł się wypowiedzieć, pozostał wówczas zegar stojący. Najczęściej przybierał on postać cokołu, uwieńczonego figurkami, na których doskonale można było obserwować przeróżne fazy romantycznych upodobań. Spotkamy tam zarówno „Wolnego Strzelca“ z Agatą, jak pięknego Phobusa i Esmeraldę, przekleństwo Roberta Djabła i taniec Fanny Elsler, rycerzy i damy, minstrel i trubadurów, pasterz i giermków, rozbójników i mniszki, w śpiewie lub modlitwie, teatralnymi pozami wyrażających nienawiść lub miłość.

Właściwa tym czasom pedanterja uzupełniała taki zegar odpowiednimi kandelabrami, tworząc w ten sposób komplet, który łącznie z wazonami sztucznych kwiatów stanowi nieodzowną dekorację współczesnego salonu. Najcenniejsze obrazy umieszczano pod szklanymi kloszami: we Francji na kominku, w Niemczech na komodzie bawialni. Jako materjał używano bronzu, później nawet bronzowanego odlewu cynkowego. W Niemczech przez Wiedeń rozpowszechniły się włoskie wyroby z alabastru: wazy, urny, zegary, których względna taniość przy efektownym wyglądzie i pozorach wykwintu znakomicie zaspakajała cukierkowe upodobania burżuazji.

Wyższe sfery chętnie zdobiły wnętrza okazami starej porcelany chińskiej, japońskiej i saskiej, ale nawet w ugrupowaniu tych cacek wyraził się pedantyczny duch czasu. Jakże daleko odeszliśmy od rokokowych kolekcji porcelany, tych triumfów sztuki dekoracyjnej! Na kapryśnych konsolkach, które zdawały się dziełem szczęśliwego przypadku, wdzięczne figurynki, wazoniki, flakony przeglądały się kokieteryjnie w zwierciadlanych ścianach, wielokrotnie powtarzających ich odbicia. Wszystko było obliczone na wdzięk, figlarność, zalotność, pierwiastki tak zgodne z kruchym, a lekkim materjałem. Tymczasem obyczaj biedermeierowski ustawia w ścisłym porządku talerz za talerzem, filiżankę przy filiżance, w szeregach pod sznur wyciągniętych za szkłem serwantki. Systematycznie i dokładnie kładą swe kościste ręce nawet na motylach skrzydełkach buduaru.

Przeciętny mieszczanin, któremu szczupłe środki nie pozwalały na kupno starej porcelany, zadawał się filiżanką berlińską lub oedewską. Ach! te filiżanki! Bez przesady można powiedzieć, że w nich zamieszkało serce biedermeierowskiej epoki. Na ich kruchej powłoce unieśmiertelniła ona i swój patriotyzm i sentymentalizm, rozrzutność i skromność, dowcip i kaprys, uczuciowość i ironję. Na filiżance uwieczniano ważne historyczne wypadki, zdobiono zarówno ją podobiznami monarchów i znakomitych ludzi, jak zwykłych śmiertelników, do których należała, w mowie kwiatów zadawanym słodkie zagadki, małżonkowie ślubowali sobie na nich miłość wieczystą, rodzice i dzieci, starzy i młodzi, przyjaciele i krewniaci ofiarowywali sobie nawzajem filiżanki na pamiątkę. Nic dziwnego, że stała się ona najulubieńszą i powszechną ozdobą mieszczańskiej bawialni. Przykład szedł z góry. Niedarmo Fryderyk Wilhelm III napełniał swój gabinet całymi piramidami filiżanek. Ambicją każdego przeciętnego burżuja było zebrać w swej serwantce kolekcję porcelanowych cacek, z których każde związane byłą z jakimś ważnym lub radosnym wypadkiem w jego życiu.

Z tem wszystkim w mieszkaniach ówczesnych dotkliwie dawał się uczuć brak prymitywnego nawet komfortu. Na ulicach działo się jeszcze gorzej. Czystość i światło pozostawiało wiele do życzenia. Przez dłuższy czas chirurgia berlińska znała tak zwane „złamania rysztołkowe“ w przegubie ręki, instyktownie szukającej oparcia przy przewracaniu się w rysztołku. Za dobroczyńcę ludzkości był uważany niejaki Horn, który w 1817 r. w Dreźnie wynalazł przyrząd, odgrywający podwójną rolę: laski i latarni. Oświetlenie gazowe przywędrowało z Anglii do Paryża w 1818 r., ale nie znalazło uznania u społeczeństwa, może dlatego, że królowi chodziło o jego zaprowadzenie. Kiedy w r. 1826 poraz pierwszy zapalono latarnie gazowe w Berlinie, wiele z nich pękło z hukiem, ku wielkiej ucieście publiczności i konserwatyistów, źle wróżących tej inowacji. Na scenie poraz pierwszy zastosowano gaz w Paryżu w 1831 r. na premjerze „Roberta Djabła“.

Ale w prywatnych mieszkaniach posługiwano się ciągle jeszcze świecami, które rzucały ciepłe, nieco migotliwe, a jednak tak bardzo miłe i swojskie światło na twarze naszych prababek.

Spero.

## KILIMY

Kilimkarstwo jest najbardziej monumentalną gałęzią naszego przemysłu zdobniczego, obracającego się głównie w zakresie drobnych robót kobiecych; kilimy nasze posiadają stare tradycje i piękne wzory dzisiejszych artystów, wzbudziły one najżywsze zainteresowanie zarówno na wystawach krajowych jak zagranicznych (Paryż, Florencja, Bazylea) i wreszcie zatrudniają niewątpliwie największą ilość warsztatów. Z tych wszystkich względów kilimkarstwo nasze zasługuje na szczególną uwagę.

Nagminnie zaliczają kilimkarstwo do działy przemysłów ludowych; w istocie lud nasz samorodnie kilimów ornamentacyjnych nie wyrabia. W Kongresówce kilimami nazywają często niesłusznie łowickie i inne pasiaki-wełniaki. Kilimy ornamentacyjne ludowe spotykają się tylko w Małopolsce Wschodniej, zwłaszcza na huculszczyźnie (wzory geometryczne) (Patrz wzory

tkactwa krajowego wydawn. Muzeum Lwowskiego) oraz na Wileńszczyźnie i w Nowogródzkiem, częściowo na Polśiu gdzie wyrabiają „derki“, „dywany“ półniane oparte na wzorach w kratę i kostkę. Na Wołyniu kilimkarstwo zanikło. Mówimy w tej chwili o samorodnych kilimach o wzorach etnicznych. Przemysł kilimkarski stał w Polsce w XVII, XVIII i XIX wieku wysoko; dwory krzewiły tę umiejętność po wsiach; wzory francuskie i etniczne stapiały się wytwarzając swoiste typy kilimu o wzorach płaskich w przeciwieństwie do światłocieniowego gobelinu francuskiego, kwiatów stylizowanych o zarysach prawie geometrycznych, barwach przełamanych, o wzorze powtarzającym się, lub ześrodkowanym i zamkniętym w kwietnej ramce.

Trzeba odróżniać dwa typy kilimów: haute-lisse gobelinowe, tkane na warsztacie pionowym, oraz basse



lisse — kilimy o wzorach geometrycznych, tkane na warsztacie poziomym. Pierwszy typ jest wyłącznie wyrobem przemysłu artystycznego, drugi przemysłu ludowego, a w znacznej mierze i artystycznego. Kilimkarstwo współczesne, które zyskało sławę zagranicą nie jest przemysłem ludowym. Jest to przemysł domowy; drobne warsztaty lub też większe fabryki, jak „Kilim“ i „Tarkos“ w Zakopanem, niedawno zamknięta fabryka „Kilim“ w Henrykowie pod Warszawą itp. Zjazd kilimiarski obradujący w roku bieżącym naliczył w Polsce 539 warsztatów, zatrudniających obecnie 350 pracowników i kilkadziesiąt uczennic, a mogących zatrudnić drugie tyle. Produkcja kilimów według obliczeń zjazdu sięga 2000 m<sup>2</sup>. rocznie kilimów basse lisse i 71 m<sup>2</sup>. kilimów gobelinowych.

Zapewne Zjazd nie mógł wziąć pod uwagę licznie rozproszonych warsztatów niezorganizowanych.

Warsztaty przerabiają wełnę i osnowę z przędzalni z Bielska, Warszawy, Łodzi, Częstochowy, Poznania i Żyrardowa.

Wełny w kraju mamy dosyć, do kilimów gobelinowych używane są specjalne gatunki.

Zasadniczą rolę w kilimkarstwie odgrywiają barwniki, od nich zależy trwałość i nasycenie odcieni.

Tow. Pop. Przem. Ludowego na Tamce posiada specjalną farbiarnię wełny na kilimy. Dawniej w kilimkarstwie ludowym używano dyskretnych i trwałych barwników roślinnych, obecnie rozpowszechnione są najgorsze gatunki aniliny. Kilimkarstwo artystyczne posługuje się nie tylko wzorami roślinnymi ale i geometrycznymi, za najpiękniejsze wzory słyną projekty Tretera, Czajkowskiego, Jastrzębowskiego, Jabrodzickiego, Handelsmanowej, Śliwińskiej, Młodzianowskiego i innych. Projekty te wykonywane są w wytwórniach i fabrykach przemysłu artystycznego.

Trudno jednak przeprowadzić całkowite rozgraniczenie przemysłu ludowego i fabrycznego, gdyż wpływy te przenikają się nawzajem. Małopolska Wschodnia zasypana jest kilimami o wzorach typowo ruskich geometrycznych; powstały tam wytwórnie wyzyskujące motywy ludowe i siły rekrutujące się z wiejskich kilimkarzy. Szkoły kilimkarzkie krzewiły umiejętność tam, gdzie nie zanikły całkowicie tradycje, często dość niefortunnie wypaczając etniczne wzory. Tak powstało pięć fabryczek kilimów w Kosowie lub warsztaty w Glinianach, zarzucające Małopolskę owym tanim ale niewybrednym towarem. Z drugiej strony w miejscowościach, w których powstały wytwórnie przemysłu artystycznego tak jak w Zakopanem, kilimkarstwo przeniosło się z wytwórni na wieś, skupiając dookoła fabryki przemysł domowy. Po miastach nakrzewiło się wiele drobnych jedno, lub dwu warsztatowych wytwórni, któremi panie z inteligencji próbują dorabiać. Niestety, poziom estetyczny tych wyrobów pozostawia wiele do życzenia. Bardzo aktualna jest wciąż sprawa albumów wzorów dla kilimkarzy i sporadycznych konkursów na projekty.

O sprawach organizacji zbytu na Niemcy, jak i o wzory, zatroszczył się Zjazd kilimkarzki. Trzeba zaznaczyć, że mimo wybitnego powodzenia zagranicą, kilimy nasze nie mają wielkiego zbytu, gdyż są drogie; obecnie 1 m<sup>2</sup> typu basse-lisse kosztuje 40—50 zł; a gobelinowe od 60 do 125 zł.

Wskutek ogólnego zubożenia przemysł kilimkarzki znajduje się w katastrofalnych warunkach; wiele warsztatów dezorganizuje się i zamiera.

Kilimy nasze odznaczają się wysoką i uznaną przez świat całą wartością estetyczną oraz trwałością. Zamiast kupować sztuczne dywany i makaty, znacznie piękniej i praktyczniej jest nabywać kilimy. J. Or.

## OGRÓD WARZYWNY NA 200 M<sup>2</sup>

napisał Bronisław Gałczyński, wydała Księgarnia Rolnicza, r. 1926, wyd. II-ie, cena 1 złoty.

Najmilsza i najbardziej godna polecenia książeczka! Jak to dobrze, że widzimy już drugie jej wydanie! Ma jeszcze nastąpić: Ogródek kwiatowy na 100 m<sup>2</sup> i Sad owocowy na 400 m<sup>2</sup>

Obecne dziełko ma za zadanie wykazać: „Jak z takiego małego ogródka mieć dosyć jarzyn na cały rok na trzy osoby?”

Poza praktyczną stroną jednak, autor porusza we wstępie zagadnienia wielkiej moralnej wagi. Nie tylko bowiem wstydem jest dla nas, że ogrodnictwo polskie tak nisko stoi, że produkty ogrodnicze przywozić do nas musi zagranica całymi masami: brak zamiłowania do swojego „ogródka“ pozbawia nas mnóstwa innych walorów, niedostatecznie ocenianych. Praca na świeżem powietrzu, „najszlachetniejszy ze sportów“, następnie odżywianie się zdrowe i smaczne a zatem wzmożenie sił, energii, radości życia, wszystko to płynie z tych kilku skib ziemi, na których zamiast pokrzyw i śmiecia, jak to często u nas się widzi, pracowita ręka ludzka, stworzy małą oazę.

Obyż pokryły one kraj cały!

Dla człowieka chętnego do pracy ale niewiedzącego, jak się wziąć do rzeczy, książeczka p. Gałczyńskiego to skarb prawdziwy. Tania, wyraźnie praktycznie napisana przyda się nawet starym gospodarzom, którzy przywykli operować większymi ilościami i rozmiarami gruntu.

Słuszną jest uwagę, że u nas wkłada się zwykle za dużo w stosunku do ilości pracy, jaką im możemy poświęcić i wiele osób zwleka z założeniem ogródka bo — „boją się zacząć“.

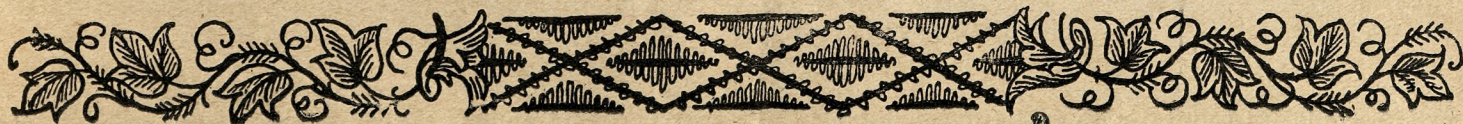
„Dla ludzi, którzy boją się zacząć, została właśnie napisana niniejsza książeczka“.

„Daj Boże, aby przyczynili się do tego, aby kiedyś w Polsce powstało tyle małych ogródków ile ich jest koło jednego miasta Londynu, to znaczy półmilijona“.

Daj to Boże — i Bóg zapłać autorowi, że budzi kult dla zdrowej pracy, dla ludzi, co nie zawahają się, jak mówił góral zakopiański Witkiewiczowi:

„Świeżą ziemechną ręce sobie uwalac“.

K. B





## HISTORJA KARTOFLA

Trudno dziś poprostu uwierzyć, że kiedyś obchodziliśmy się bez ziemniaków. Wprowadzenie ich do gospodarstwa rolnego spowodowało prawdziwy przewrót i dało w kierunku odżywczym znakomite rezultaty; gdzie się bowiem kartofel urodzi, nie może być mowy o często dawniej nawiedzającym głodzie. Kartofel nie posiada wprawdzie dużych wartości odżywczych, ale ma tak olbrzymie zastosowanie w gospodarstwie i przemyśle, że stał się nieodzownym i niezastąpionym. Kartofel pochodzi z Ameryki. Rośnie dziko na zboczach Andów, w Chili i w Peru. Od niepamiętnych czasów kartofel uprawiany jest w Ameryce. Do Europy dostał się w 16 wieku, roku 1500. Pierwsza zaczęła plantować go Hiszpanja, ale wkrótce zarzuciła, zostawiając tę pracę Włochom i Irlandji. W Niemczech, kartofle ukazują się już w roku 1587 plantowane są na Ślązku potem zaniedbane, a nawet zapomniane. Dopiero w 1734 r. przywiezione z Włoch, gdzie stale hodowane były. Spotykają się z wielkim uznaniem, a już 1740 r. sadzenie ich nakazują władze rządowe, które zrozumiałwszy pierwszorzędne znaczenie kartofla w gospodarstwie starają się rozpowszechnić jaknajbardziej tę pożyteczną roślinę. W Belgji uprawa kartofli datuje się od 1590 r. we Francji od 1770 r. U nas za Jana III kartofle ukazywały się tylko na pańskich stołach, nie przeczuwając, że kiedyś pożywieniem podstawowym, potrawą biednych będą. Za Augusta II zaczął uprawiać je w Warszawie ogrodnik Łuba. Dziwnem jest doprawdy, że kawa i tytoń, pomimo licznych przeszkód, rozprzestrzeniły się prędzej niż ziemniaki. Dopiero lata głodowe w 18 wieku rozwinęły ich uprawę.

Ciekawe są uprzedzenia, z którymi walczyć musiał ten, który chciał hodować kartofle, zanim dowiedział, że pomimo nielicznych słabych stron kartofel jest nadzwyczaj użyteczną, a w niektórych kierunkach niezastąpioną wprost rośliną. Kartofel w nieodpowiedniej glebie i w mokrym roku, podlega chorobie zarazą zwanej. Zaraza ta znana od dawna w Stanach Zjednoczonych dopiero w 1842 roku ukazała się w Belgji i w Holandji i szybko bardzo rozprzestrzeniła się w całej Europie. Skutki tej zarazy, nieznanej i niespodziewanej, były straszne, zwłaszcza w krajach biednych, gdzie kartofel stanowił podstawę pożywienia ludności. W Irlandji np. na osiem milionów mieszkańców 1 milion zmarło z głodu i nędzy. Nieudanie się kartofli pociągało za sobą tem gorsze skutki, że spotkało się z nieurodzajem owsa, drugim ze spożywczych produktów, zasilających Irlandję. W Belgji w 1845 r. wymarznienie żyta, łącznie z zarazą kartofli spowodowało groźne następstwa. Choroba ta trwa jeszcze, ale wskutek wytworzenia nowych odpowiedniejszych odmian nie jest już tak straszną. Obecnie kiedy odżywianie jest więcej urozmaicone, handel rozwinięty, komunikacje ułatwione, nie ma nic prostszego, jak sprowadzać z jednych krajów do drugich, to co im brakuje. O głodzie w cywilizowanych krajach i w normalnych warunkach, mowy już być nie może, często nawet zdarza się nadmiar niektórych produktów, wskutek czego cena ich spada i o zbyt na nie ciężko. Wprowadzenie kartofla do gospodarstwa wskutek przynależności ich do rodziny psianek, do których należą również znane ze swoich części trujących rośliny, jak belladona naprzykład, spotkało się z wieloma trudnościami ze strony ludzi oświeconych.

Rodzina ta jednak zawiera oprócz kartofli inne spożywcze rośliny, jak: pomidory, pieprz turecki, oberżyny. Chociaż psianki ogólnie są trujące, trucizna ich

umiejscowiona jest w specjalnych organach i tak — są rośliny, których gałązki wygotowują w celach lekarskich, a owoce są gwałtowną trucizną. Kartofel ma w sobie pierwiastek trujący, salaminę, nie bardzo gwałtowny, nie mniej przy częstem używaniu dla zdrowia szkodliwy. Bardzo mało zawiera ziemniak, o ile nie jest zzieleniały albo wyrosnięty, więcej znajdujemy jej w obierkach, nie dosyć jednakże, aby zaszkodzić miała zwierzętom karmionym obierkami, jak: krowy i trzoda chlewna. Salamina znajduje się szczególnie w zwiedłych liściach kartoflanych, albo w ich kłach. Te są tak szkodliwe, że w miejscach, gdzie na to nie uważają, trzoda chlewna zdycha od ich spożycia. Odmiany kartofli są bardzo liczne, najplenniejsze — pastewne, niezdatne do użytku kuchennego. Jadalne czyli kuchenne kartofle, mało wydajne, ale smaczne, sypkie posiadają więcej części odżywczych od innych odmian. Naogół kartofel zawiera bardzo mało tłuszczu, za to bogaty jest w pierwiastki mineralne, prawie wyłącznie składające się z soli potasowych. Kartofel uważany jest za pożywienie djetetyczne, to też przy djetach artretycznych z powodzeniem stosowany. Kartofel dla człowieka nie może stanowić całkowitego pożywienia, które tylko wtedy jest wystarczające, jeżeli rozumnie z różnego rodzaju produktów jest zestawione. Ludność, której głównem pożywieniem są ziemniaki, kraszając je suto masłem, słoniną, szmalcem i różnemi innymi nawet roślinnemi tłuszczami lub z trochę chociaż miesa, które w nadmiarze posiada części, których nie ma w ziemniakach, braki te dopełnia.

Kartofle są nie do zastąpienia, służą do tak różnorodnych użytków, że gdyby nagle zniknęły z powierzchni ziemi, nie dałyby się niczem zastąpić. Sprowadzając to, co bywało przed ich odkryciem... głód.

Sposobów zastosowania kartofli w naszej kuchni mamy z górą 200, czy to jako ogólnie lubiany skromny dodatek do mięsa, kartofle tłuczone, czy też pod postacią zup, kaszy, klusek, pierogów, słodkich dań, ciasta prostego i wykwiutnego i wielu wielu innych.

Kartofel zawsze jest pożądany, oprócz kuchennych daje on także przemysłowe przetwory jak: mąkę, krochmal, suszone płatki kartoflane, syrop kartoflany, zwany „glukosą“ i najważniejszy — spirytus. Gatunki pastewne służą do karmienia i wypasania inwentarza. Ale ponieważ nas obchodzi kartofel, jako środek odżywczy dla człowieka, o tamtych mówić nie będziemy, ale pomówimy jeszcze o wyborze kartofli przy zaopatrywaniu się w nie na zimę. Ziemniaki, przeznaczone na zimowe przechowanie, powinny być suche, czyste i mieć lekkie wgłębienia, delikatną skórę. Gdy się je przekroi i jedną połowę o drugą potrze, to się przyczepiają do siebie, a na brzegach powstaje lekka pianka. Kolor zaś wnętrza mają biały lub żółtawy. Najlepsze są tak zwane pospolicie „amerykańskie“, Early-Rose, wewnątrz białe, na zewnątrz lekko różowe. Oprócz nich, dużo jest nowych dobrych kuchennych odmian. Early-rosy cieszą się jednak największem powodzeniem. Złe ziemniaki są miękkie, wodniste, gąbkowate, a gdy się który przekroi to w środku jest plamisty, a po krótkim czasie przybiera kolor brązowy. Najlepsze, najbardziej sypkie kartofle są z piasków, z ziem gliniastych zupełnie dla nich nieodpowiednich, będą żółte lub ciemno czerwone. Gdy się kupuje tylko 2 do 3 korcy, można je po prostu włożyć do paki drewnianej, której dno przed tem wysypiemy niegaszonym wapnem, a z wierzchu nakryjemy słomą. Gdy jest większa ilość, to trzeba



piwnicę wymieść, ziemię posypać niegaszonym wapnem, na niem ułożyć czyste suche deski, a na nie dopiero zsypywać ziemniaki. Z brzegu obstawić deskami, by się nie rozsywały, nakryć słomą, a obok postawić kosz wapna niegaszonego, co zapobiega gniciu ziemniaków. Ponieważ, jak nam już wiadomo, ziemniaki należą do rodziny psianek, więc zawierają w sobie, a zwłaszcza w łupinie, skoro zaczną kiełkować, truciznę szkodliwą dla zdrowia, sprowadzającą nudności, a nawet w pojedynczych wypadkach—śmierć.

Aby zabezpieczyć się od tych przykrych komplikacji, trzeba zabezpieczyć się od kiełkowania kartofli w sposób następujący: napełnić kocioł do połowy wodą, gdy się zagotuje wrzucać weń ziemniaki, na 5 sekund tak, aby je ukrop nakrył. Następnie wysuszyć i wsypać do piwnicy. Wrząca woda niszczy kiełki, a nie szkodzi kartoflom. Drugi sposób jest: ostrym nożem wyciąć ostrożnie oczka, to również nic nie szkodzi ziemniakom i tak zoperowane mogą leżeć do Maja lub Czerwca. Trzeba także, począwszy od Stycznia, często przebierać ziemniaki. Przemarznięte, obrać z łupiny, włożyć do garnka, posypać trochę mialką solą, szczelnie nakryć i gotować w parze. Będą miały smak zupełnie naturalny. Pod wiosnę, by stare ziemniaki nie szkodziły zdrowiu, trzeba je obrać, opłukać kilkakrotnie, włożyć do garnka, sparzyć gorącą wodą, odlać ją, nalac drugą, gotującą, osoloną. Gotować trzeba na mocnym ogniu.

## KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

### ODPOWIEDZI Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

**Do czytelniczek Bluszczu.** Wobec wielkiej ilości listów, jakie otrzymuję od czytelniczek Bluszczu ze skargami, że cera ich po opaleniu się, zwłaszcza nad morzem, wygląda fatalnie, przypominam swoje przestrogi wyrażone w artykule o opalaniu się. Przy opalaniu należy stale stosować „Mój krem” przynajmniej na twarz! Obecnie zaś doradzam stosowanie tego środka przez okres co najmniej 6 tygodni, 2 razy dziennie, aż do poprawienia cery.

**Ana w Sławkowie, Zocha K. oraz Zofja L.** Ciemne plamy na twarzy nie same dadzą się usunąć, proszę poprobować Piegolin — w razie jeśli Mój środek nie da po 6 tygodniach rezultatu, można zastosować radykalne złuszczenie. Jeżeli po złuszczeniu plamy nie znikną, spróbować światłolecznictwa.

**Czytelniczce Z.** Złuszczenie skóry bardzo dobrze odnawia skórę. Bez zobaczenia nie mogę Sz. Pani poradzić, czy Pani skóra nadaje się do złuszczenia. Złuszczenie można przeprowadzić w 3 dni, można też powoli, t. j. 30 dni. Jeśli lekarz specjalista w Lublinie po obejrzeniu podejmuje się tego, to rada jego będzie w każdym razie skuteczniejsza, niż moja bez zobaczenia dziś cery.

**Czytelniczce E.** Ciężkie kalectwo, trudne do usunięcia, możliwia poprawa przez masaż, kąpiele, elektryczność. Udać się radę do neurologa.

**Wilno R.** Przynęta do odtłuszczenia nigdy nie zastąpi masażu ręcznego, natomiast odtłuszczenie należy przeprowadzić drogą odpowiedniego odżywiania się, sportów, masażu, gimnastyki i t. p.

**J. S.** We Francji stosowane farby wybielające jednolicie włosy, u nas niestety farb takich nie wyrabiają i dotychczas jeszcze nie są prowadzane.

**E. P.** Należy zbadać przyczynę pocenia się, by zapobiec skutecznie tej przykrych doli! Główną przyczyną mogą być choroby wewnętrzne, płuc, nerek i t. d. Zaburzenia w systemie nerwowym, przemęczenie, zbyt ciepłe ubieranie, wysoka temperatura, poza tem pewne potrawy, gorące napoje, wywołują pocenie się. Leczenie polega na usunięciu przyczyny, wewnętrznie podaje się atropinę. Zewnętrzne leczenie, ogólne kąpiele częste z soli aromatycznych. W razie niemożliwości używania częstych kąpiele poleca się zmywanie pocących się części ciała wodą z dodatkiem olejku kamforowego, lub gorczycowego łyżeczkę na litr wody.

Dobre wyniki daje moczenie w formalinie (łyżkę na miednicę). Po osuszeniu pudrować Galmaninem, wyrób Karpińskiego.

**St. Owczyn.** Wyższy Kurs Wychowania Fizycznego istnieje przy uniwersytecie Warszawskim, kurs dwuletni. Patent daje prawo do nauczania w szkołach średnich.

**Mieszczanka.** Ażeby uzyskać różowy odcień skóry należy podnieść ogólny stan zdrowia. Dużo słońca, powietrza, ruchu. Należy stosować odpowiednie odżywianie i higieniczny tryb życia. Miejscowe zaś kąpiele przemienne i masaże twarzy dają bardzo dobre rezultaty. Ten rodzaj zabiegów stosują Angielki wskutek czego do późnego wieku mają cerę świeżą. Osobiści jestem zwolenniczką angielskiego systemu.

**Zofja H.** Na wystającą kość na nodze należy zastosować masaż w ciągu kilku miesięcy. Wrazie jeśli to nie pomoże udać się do lekarza ortopedysty. Po odpowiednim nauczaniu się (można to skutecznie łatwo wciągu 1—2 lekcji) masaż można stosować samej. Żadnych recept w tym wypadku polecić nie można.

**Mężowi.** Ad S. Nie można dać skutecznej rady na wzmocnienie włosów nie znając organizmu, przebytych chorób, przyczyny wypadania, zwłaszcza jeśli stan taki trwa czas dłuższy. Ogólnie nie udzielam porad mężczyznom. Wyjątkowo i tylko na włosy, mężom czytelniczek „Bluszczu” w godzinach specjalnie zamówionych.

**Nauczycielce gimnazjalnej w Małopolsce.** Niestety z tej dziedziny literatury w polskim języku mamy bardzo niewiele, poważnych źródeł, Moja książka, omawiająca te sprawy p. t. „Piękność i zdrowie w życiu kobiety” znajduje się w druku.

**Jagoda M.** Na schudnięcie polecam ziółka, które należy stosować wciągu okresu 6 tygodni. Ponawiać leczenie co trzy miesiące aż do osiągnięcia przepisanej wagi. Wysyłka za zaliczką pocztową. Przeczytać artykuły na ten temat w „Bluszczu”.

**Młodej staruszce i czytelniczce Zan.** Obrzęk rąk i nóg zwłaszcza po zmęczeniu wskazuje na poważne cierpienie natury ogólnej. Należy natychmiast udać się do lekarza chorób wewnętrznych:

Złuszczenie skóry na twarzy można skutecznie wciągu jednego posiedzenia. Lepiej jest jednak poświęcić trzy dni w tym celu. Cały proces tworzenia się nowej skóry trwać będzie 10 dni. Przez ten czas należałoby unikać pokazywania się ludziom. Po złuszczeniu skóra będzie nowa, młoda i elastyczna. Nie każda jednak skóra nadaje się do złuszczenia: są skóry np. za delikatne, które nie mogą podlegać tego rodzaju zabiegom.

Złuszczenie skóry można przeprowadzać jedynie pod kierownictwem lekarza specjalisty.

**Czytelniczce „Bluszczu” z Miechowa oraz Pannie Jance.** Usunąć włosy z twarzy i kończyn można jedynie czasowo przy pomocy depilatorów. Na stałe przez diatermję lub elektrolizę. Na jedno posiedzenie usuwa się około 12 włosów. Zabieg uciążliwy i kosztowny, jednak jedynie dający pewne rezultaty. Wszelkie płyny cudowne lub maści są jedynie tylko depilatorami w lepszym lub gorszym gatunku.

**Ryśka.** Odpowiedź może być podana jedynie na łamach „Bluszczu”, gdyż prowadzę dział porad kosmetycznych jedynie w „Bluszczu”. Nigdy nie należy stosować dwóch kremów od razu. Za najlepszy uważam „Mój Krem”. Puder należy dobrać do cery, do koloru włosów, skóry, oczu. Uchwycenie właściwego odcienia jest bardzo trudne: Proszę spróbować zastosowania „Mojego Pudru” koloru naturalnego skóry. Na tłuste włosy polecam za-





stosowanie następującego lekarstwa przez 2 do 6 tygodni. Mycie włosów wodą uskutecznić należy raz na dwa tygodnie:

Środek: „Mój płyn do mycia włosów“, ukaże niezadługo w sprzedaży. Przeciwdziała siwieniu, wzmacnia i odłuszcza włosy.

**Właścicielowi apteki w Lublinie.** Sprzedaż hurtową moich środków kosmetycznych załatwia firma Fr. Karpiński Sprzedaż detaliczna Krucza 31 m. 3. Ceny: „Mój Krem“ 6, „Puder“ 4 zł. „Mydło“ 3.

**Pani Zofji długoletniej prenumeratorce „Bluszczu“.** Wypadanie włosów połączone jest z ogólnym stanem zdrowia. Choroba pęcherza, nadmierne odłuszczenie, nabrzmienie nóg świadczą o poważnych cierpieniach wewnętrznych. Należy przedewszystkiem leczyć cierpienie podstawowe. W tym stanie zdrowia, bez zbadania, środka przeczyszczającego zapisać nie można.

Co się tyczy farbowania włosów proszę przeczytać odpowiedź ogólną M. S. W.

**B. S.** Brodawki występują pojedynczo lub gromadnie. Dawniej stosowano środki żrące np. lapis. Następnie przepalanie i wyżyżczkowanie, po których występują stale blizny, często zaś tworzą się nowe brodawki. Obecnie stosuje się elektrolizę lub diatermię, które je na zawsze usuwają.

**Królewska Huta** Jeden flakon Henny kosztuje od 16—20 zł. i w zupełności wystarcza na ufarbowanie głowy o krótkich włosach.

**J. S.** Kolor intensywny ust zależy od grubości skóry na wargach, stanu zdrowia i t. d. Do dyskretnego zabarwienia ust używa się ołówków suchych, odpowiednio dobranego koloru. Nie należy stosować tłustych pomadek, gdyż tłuszcz psuje się, jęlczeje i jest podłożem dla rozwoju bakterij.

Farbowanie włosów dobrze nie może być uskutecznione „domowym sposobem“. Winna to robić osoba fachowa. Używać należy jedynie farb roślinnych: Henna, Safiryne.

Na piękne układanie się włosów wpływa masaż i odpowiednie szczotkowanie. Wskazówki co do tego zawiera moja książka, którą wydaje obecnie „Bluszcz“.

**Czytelniczce „Bluszczu“ Z.** Sztuka farbowania włosów u nas, a nawet we Francji przedstawia wiele do życzenia. Ogólnie powiedzieć można, że farbować należy środkami roślinnymi. Jednakże nie ma się zupełnej pewności, że uda się otrzymać zawsze odcień pożądanym. Zdarza się, że nieoczekiwanie otrzymujemy odcień czerwony. W takim wypadku należy włosy odbarwić i poifarbować na nowo. Ze względu na różne gatunki farby, najlepiej na próbę poifarbować jeden kosmyk włosów. Nawet znana i wypróbowana farba może zawieść. Tych samych farb można używać do pociemnienia brwi.

**Lucynie D.** Łojotok skóry na głowie należy leczyć wzmacniając i osuszając włosy stopniowo. Środkiem, którego receptę załączam, należy wycierać skórę głowy codziennie na noc w ciągu 2 tygodni, potem zrobić 2 tygodniową przerwę. Kuracja trwa 6 tygodni z przerwą włącznie. W tym czasie nie należy stosować naswietlania lampą kwarcową.

Rp. Resorcini puzis 10,0  
sulf. praecip 2,0  
spir. comp. 20,0  
spir. vini.-rectif. 80,0

Ds. zewnętrzne

Myć włosy stale następującym płynem:

Amon. muriat.  
boracis ar 20,0  
spir. sophon 100,0  
ori uno

Do wymieszania w pół litrze letniej wody, po umyciu obficie spłukać wodą z octem toaletowym.

Dr. J. Świtalska

\* \* \*

Dr. Julja Świtalska powróciła i ordynuje w chorobach skórnych, kosmet., wener. wyłącznie dla kobiet od 5—7. Krucza 31, tel. 102-77.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 37

- 823 Suknia wełniana, bluzka naszyta pliskami do cieniu.  
824. Suknia z lila popeliny, przybrana stebnowaną plisą.  
825. Suknia z pelerynką z kasha koloru bois de rose.  
826. Skromna sukienka wełniana, krawat z aksamitki.  
827. Suknia z pelerynką przybraną wełną w kratę.  
828. Suknia wełniana z jaśniejszą kamizelką i kołnierzem.  
829. Suknia z kasha koloru rezedowego, żabot z georgette'y.  
830. Szlafrok z ciepłej flaneli, wyłogi z białego rypsu.  
831. Skromna wełniana suknia.  
832. Spódniczka plisowana z woalu i bluzka z woalu deseniowego.  
833. Ubranko granatowe szewiotowe dla chłopczyka pięcioletniego.  
834. Suknia wełniana, bluzka z kamizelką sukienną jaśniejszą od sukni.  
835. Suknia z wełny w kratę z angielskim kołnierzykiem.  
836. Suknia z sukienka brązowego, przybrana haftem.  
837. Suknia domowa z flanelki w dwóch kolorach.  
838. Palto z granatowego kasha.  
839. Bluzka pod kostjum z surowego jedwabiu, przybrana żabotem.  
840. Sukienka z woalu deseniowego dla dziewczynki sześciolatniej.  
841. Szlafrok z crepe marocain gładkiego i deseniowego.  
842, 843, 844. Komplet bielizny i kombinacje przybrane wstawką i motywami filet.  
845. Komplet bielizny przybrany pasami poprzecznych zakładeczek.  
846. Pelerynka sukienka dla dziewczynki dziesięcioletniej.  
847. Sukienka z ciemnej wełny dla czternastoletniej dziewczynki.  
848. Suknia dla młodej panienki, przybrana haftem.  
849. Skromna sukienka dla młodej panienki.  
850. Suknia z pelerynką dla dziewczynki dwunastoletniej  
851. Wzór na laufer, haft richelieu.  
852. Wzór na ząbki papierowe do oblepiania półek.

Linje rwane wskazują sposób złożenia.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących: palto, lub suknia fantazyjna . . . . . zł. 3,50  
suknia zwyczajna . . . . . „ 2,50  
bluzka . . . . . „ 2,00  
formy dziecięce . . . . . „ 2,00  
bielizna . . . . . „ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.